Miesięcznie 1 zł.
prenumeratę przyjmuje każda poczta

1 egz. 30 groszy.

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok IV. Niedziela, dnia 3 maja 1936 r. Nr. 18





Obracają się zwolna skrzydła wiatraka,
Ruchem dziwnie rytmicznym i dziwnie ciągłym.
— Gdy patrzę na tę pracę, myśl wciąż jednaka
Wyobrażeń nasuwa się skojarzeniem.

I w naszem życiu wiatrak — los wszystko miele,
Obrazy przesuwają się ruchem ciągłym,
A gdy Gospodarz uzna: pracy zawiele,
Ustaje wnet ruch skrzydeł, choć wiatr pomyślny...

Danuta Wyrybkowska.

MARJAN BRONISŁAWSKI

17)

Szumowiny

Powieść sensacyjna na tle stosunków amerykańskich

Odprowadzono go wyczerpanego i zrozpaczonego do celi. Gdy zamknęły się za nim ciężkie, żelazem okute drzwi, zaopatrzone w środku małą kratką, przez które można było widzieć całe wnętrze celki, usiadł na krawędzi twardego więziennego łóżka i, oparłszy głowę na rękach, pogrążył się w bolesną, beznadziejną zadumę.

Nie bał się o siebie. Był pewny, że śledztwo musi wykazać jego niewinność. Rozmyślał tylko z niepokojem o Haneczce i martwił się myślą, że ukochana jego matka zdrowiem może przypłacić wiadomość o aresztowaniu syna. Na wspomnienie Wintersa, żal go ogarniał niezmierny, gdyż przez ten krótki czas, jaki go znał, polubił go szczerze i stał się jego serdecznym przyjacielem.

Długo siedział pogrążony w tych smutnych myślach, aż zmorzony przebytemi wzruszeniami i fizycznem zmęczeniem, zapadł w głęboki, niespokojny sen. A podczas gdy spał, co kilka minut kratka drzwi otwierała się bezszelestnie i do celi wpadało badawcze spojrzenie pomocnika szeryfa, który z karabinem w ręku pilnował drzwi celi Stefana.

W „Rajskim kąciku“

W czasie kiedy szeryf wiózł do aresztu Stefana skutego w kajdanki, polną drogą przecinającą zarośla w pobliżu „Rajskiego kącika“ posuwał się powoli i cicho samochód. Siedziało w nim dwóch ludzi, Gerber i olbrzymiego wzrostu jego spólnik Dan Poter. Po zamordowaniu Wintersa krzakami przedarli się do miejsca, gdzie poprzednio zostawili maszynę i bocznemi drogami, bojąc się jechać główną szosą, spieszyli w kierunku karczmy Hardena, aby oddać mu łup zdobyty kosztem życia ludzkiego i odebrać część udziału w gotówce.

Jakkolwiek w zaroślach było jeszcze prawie zupełnie ciemno, jechali bez świateł, obawiając się, że blask latarni samochodowych o tej porze mógłby ściągnąć ciekawość którego z okolicznych farmerów, z których wielu przed świtem dostarczało mleko do najbliższej stacji kolejowej lub też samochodami wprost do New Yorku.

Jechali w milczeniu, teraz dopiero uświadamiając sobie całą potworność postępku, który mógł ich zaprowadzić, jeżeli nie na śmierć w krześle elektrycznem, to na dożywotnie więzienie w Sing Sing. Nie wiedzieli o tem, że dzięki przypadkowi niewinny człowiek został aresztowany na miejscu zbrodni i że podejrzenie władz padnie na niego.

Po długiem milczeniu Gerber odezwał się pierwszy:

— Cała nadzieja w tem, że dostaniemy zaraz dwa ubrania, żeby te, które mamy na sobie, można natychmiast spalić lub schować tak, by ich nikt nie znalazł. Obydwaj jesteśmy pokryci plamami krwi i gdyby ktokolwiek ujrzał nas tak, jak teraz jesteśmy, byłoby po nas.

— Tylko gdzie dostać te ubrania? — mruknął towarzysz Gerbera. — O tej porze, i do tego jeszcze daleko za miastem...

— To już moja głowa. Niedługo będziemy tam, gdzie dadzą nam wszystko czego potrzeba. Nie potrzebujesz martwić się. Ot, tu już staniemy.

Zatrzymali samochód i wysiedli. Gerber rozejrzał się dokoła. Cicho było i pusto. W dali, za krzakami widniał niewyraźnie w szarzejącem świetle świtu dom Hardena.

Zepchnęli maszynę z drogi, aby w razie gdyby kto przejeżdżał, nie zauważył jej, i chwilę rozmawiali.

— Zaczekasz tu — rzekł Gerber — a ja pójdę sam. Nie zabawię długo. Spodziewam się przynieść ubrania i pieniądze, a może i co do wypicia, bo zimno mi jakoś. Siedź spokojnie i czekaj.

— Co to za dom? — spytał Dan podejrzliwie. — Czy ty przypadkiem nie masz zamiaru uciec z temi kamieniami i mnie tu zostawić? Nie radzę ci tego robić, bracie, bo źle byś na tem wyszedł — dodał zmrużając oko.

— Zwarjowałeś chyba — odparł Gerber. — Idę sam, bo tak wypada, ale jeżeli mi nie dowierzasz, możesz iść ze mną... Tak czy owak dowiesz się, kto jeszcze jest naszym wspólnikiem, więc mogę pokazać ci go odrazu...

— No, wierzę ci, idź sam. Tylko nie siedź długo, bo już się rozwidnia, a nie chciałbym znajdować się w tej okolicy, gdy zrobi się dzień i znajdą tamtego przy drodze...

Gerber nie odpowiedział, tylko szybko zapuścił się w krzaki i szedł prosto ku domostwu Hardena. Znalazłszy się przy tylnej ścianie domu, zatrzymał się i miał obejść dom dokoła, gdy okno na piętrze otworzyło się i ukazała się w niem postać Hardena.

Szynkarz nie kładł się spać tylko czekał na powrót Gerbera. Ujrzawszy go, dał mu znak, żeby zaczekał na dole. Sam wyszedł cichutko z pokoju i stąpając ostrożnie po schodach, żeby nie zbudzić nikogo, dostał się do bocznych drzwi i po chwili stanął przed Gerberem.

— No co? — spytał szeptem. — Udało się?

— Aż nadto — odpowiedział Gerber, wskazując na skrwawione ubranie.

— Co... co to jest?

— Krew, jak widzisz — odparł Gerber zimno.

— Krew... czyja?

— Przecież nie moja. A tu masz pas z kamieniami — dodał morderca, podając Hardenowi skrwawiony trzosik Wintersa.

Harden zadrżał. Wziął trzosik i bacznie spojrzał na Gerbera.

— Zraniliście go? — spytał.

— Trochę więcej. Zostawiliśmy go na zimno...

— Jakto? Winters zabity?!

— Tak niby wygląda...



Oryginalnym pojazdem wybrał się do ślubu jeden z urzędników tramwaju berlińskiego. Na prośbę jego dyrekcja użyczyła mu specjalnego wozu tramwajowego, którym młoda para wraz z gośćmi udała się do kościoła.

— Morderstwo! Ja umywam ręce... nie chcę mieć z tobą nic wspólnego... Uciekaj, uciekaj stąd i zabieraj te kamienie! — syczał Harden opanowany niewypowiedzianym strachem.

— Hm... cokolwiek zapóźno namyśliłeś się, Mike — odpowiedział spokojnie Gerber. — Byłeś i jesteś naszym wspólnikiem. Planowałeś wprawdzie tylko napad, ale skoro stało się inaczej, to wcale postaci rzeczy nie zmienia. W twoim interesie leży, żeby nas nie złapali. Bierz kamienie i dawaj pieniądze, bo szkoda czasu na próżne gadaniny.

Harden ochłonął z pierwszego wrażenia. Znając Gerbera, odrazu wiedział, że ten człowiek, schwytany przez policję, nie zawaha się wciągnąć i jego do sprawy, a znane mu były wypadki, że na krześle elektrycznem kończyli nietylko rzeczywiści mordercy, ale i ci, którzy ich do zbrodni pobudzili czy namówili.

— Pieniędzy mam trochę i zaraz ci je oddam — rzekł spokojniej. — Ale powiedz, dlaczego zabiliście Wintersa? Toż ta sprawa poruszy policję całego powiatu...

— Że poruszy, to poruszy — odpowiedział Gerber, powtarzając słowa szynkarza. — Chodzi o to, żeby nas nie poruszyła, bo jakbyśmy się dostali w ich łapy, — koniec naszej karjery. No, ale niema znów potrzeby tak przejmować się głupstwem. Zamiast gadać, idź lepiej do domu i przynieś dwa ubrania, jedno dla mnie, drugie dla mojego spólnika, — czeka przy maszynie w krzakach i trzęsie się ze strachu. Tylko, że twoje ubranie nie bardzo się nada dla niego... To chłop olbrzymi, pamiętasz

go może, Dan Poter, przezywany Kid?

— Kid? — przypomniał sobie Harden. — Coś mi się zdaje, że go pamiętam. Tak, przychodził do mojej knajpy w New Yorku. Masz rację, moje spodnie sięgnęłyby mu do kolan.

— A jednak musimy go przebrać, bo cały schlapany krwią...

Harden zamyślił się głęboko i po chwili rzekł:

— Już mam. Mój murzyn, Sam, ma taki sam wzrost. Może uda mi się ściągnąć czarnemu ubranie. Śpi zwykle jak kłoda...

— Doskonale. Idź więc, Mike, i postaraj się zwędzić swemu Samowi garnitur. I nie baw długo, bo dzień coraz większy i lada chwila gotowi znaleźć tamtego i podnieść alarm na całą okolicę.

Harden poszedł do domu. Wszedłszy do budynku, skierował się ku izdebce Sama i ująwszy lekko klamkę, otworzył drzwi bez szelestu. Murzyn spał twardo i chrapał jak najęty.

Gospodarz na palcach wszedł do izdebki i przystanął, jakby w oczekiwaniu, czy śpiący murzyn nie ocknie się nagle. Chrapanie jednak nie ustawało.

— Dobrze — mruknął Harden i rozejrzał się po izdebce. W kącie, zasłoniętym szeroką firanką z wzorzystego materjału, wisiało kilka ubrań. Podkradł się jak kot cicho i oglądając się co chwilę na śpiącego Sama, zdjął z wieszaka ubranie, które wisiało za innemi, tuż przy samej ścianie. Zasunął spowrotem firankę i ostrożnie, bez szelestu wyszedł z izdebki.

— Udało się — pomyślał. — Teraz tylko po jedno z moich ubrań.

Zostawiwszy skradzione Murzynowi ubranie na schodach, poszedł na górę i wybrał stary, dobrze już przyniszczony garnitur. Po kilku minutach zjawił się przed Gerberem, któremu każda sekunda godziną się zdawała.

— Jestem — rzekł, podając Gerberowi obydwa ubrania. — To — wskazał na swój garnitur — dla ciebie, a tu masz dla tamtego. Udało mi się znakomicie. Czarnuch śpi tak twardo, że jego samego możnaby wynieść i nie przebudziłby się.

Gerber obejrzał z uznaniem przyniesione rzeczy i położył je na ziemi.

— No, dalszy ciąg — rzekł, czyniąc wymowny ruch ręką. — Gotówka...

Harden sięgnął do kieszeni i wyjął sporą paczkę papierów.

— To wszystko, co mam w domu. Musi wam wystarczyć tymczasem, a jutro w mieście spotkamy się i dostaniecie więcej.

Gerber przeliczył banknoty i rzekł z odcieniem niezadowolenia w głosie:

— Cóż to? Dajesz nam tylko kilkaset dolarów? Mówiłem przecież, że masz przygotować bodaj kilka tysięcy...

Mówię ci, że więcej w domu nie mam. Jutro dostaniecie po tysiącu, a a resztę, — jak sprzedam kamienie. Z rękawa nie wytrząsnę tyle pieniędzy.

Schowawszy pieniądze do kieszeni, Gerber mruknął coś pod nosem, podniósł leżące na ziemi ubrania i już miał odchodzić, gdy przypomniał coś sobie i rzekł do Hardena:



„Miodowe miesiące" to tytuł filmu, w którym główną rolę gra Anny Ondra. Zdjęcie nasze przedstawia piękną Czeszkę (jest żoną boksera Maksa Schmelinga) w towarzystwie reżysera filmu Karola Lamacza.

— Prawda, byłbym zapomniał. A to bardzo ważne. Przynieś mi jaknajprędzej ze dwie butelki koniaku. Musimy się pokrzepić po takiej robocie. Dan przeziąbł zupełnie, a i mnie nie ciepło. No, ruszaj, Mike, po butelki, i po drodze przynieś co do przegryzienia, bo zanim dostaniemy się do miasta, sporo czasu upłynie.

Rad nie rad Harden poszedł i wrócił po chwili z dużą flaszką mocnej wódki, którą oddał Gerberowi, mówiąc:

— Koniaku zabrakło mi w domu. Masz tu butelkę doskonałej wódki, tylko uważaj, żebyście się nie popili. A tu — dodał, podając paczkę zawiniętą w papier — macie przekąskę. Spory kawał szynki, puszka sardynek i pół bochenka chleba. Tyle zdążyłem znaleźć pod ręką.

— Dobre i to — rzekł Gerber. — A teraz powiedz mi, gdzie i o jakiej porze spotkamy się jutro w mieście?

— Siedź w domu, to dam ci znać telefonicznie — odpowiedział Harden. — Teraz uciekaj, bo czas mija.

— Dobrze — odparł Gerber. — Oczekuję jutro twego wezwania. A pamiętaj — dodał tonem pogróżki, — że oprócz mnie, należy do tej sprawy i Dan. Nie radzę ci zwlekać z zapłatą...

Nie czekając na odpowiedź Hardena, odwrócił się i znikł w zaroślach.

Harden chwilę patrzał za nim osowiałym wzrokiem, poczem odszedł zwolna do domu wzburzony do najwyższego stopnia tonem Gerbera. Znalazłszy się w swoim pokoju, zamknął drzwi na zatrzask i głęboko zamyślony siadł na łóżku. Nie przypuszczał, że cała sprawa weźmie taki obrót. Był przekonany, że Gerberowi uda się poprostu obrabować Wintersa, ale nawet przez myśl mu nie przeszło, żeby uplanowany przez niego napad miał się skończyć morderstwem. Teraz, gdy było już zapóźno, żałował, że wmieszał w sprawę Gerbera.

Nie chodziło mu o to, że niewinny człowiek życiem swojem opłacił jego chciwość. Nie czuł najmniejszych nawet wyrzutów sumienia, że planując napad na Wintersa, stał się przyczyną jego śmierci. Zląkł się tylko tego, że choć sam nie miał czynnego udziału w morderstwie, niemniej stał się sprężyną i spólnikiem zbrodni, za którą w razie wykrycia czekało go uwięzienie i kara śmierci.

Na myśl o krześle elektrycznem dreszcz grozy przeszedł jego ciało. Przymknął oczy i starał się nie myśleć wcale, ale uparta wyobraźnia przywodziła mu do głowy opisy egzekucyj i roztaczała przed nim straszne obrazy. Wzdrygnął się i przetarł ręką czoło.

Znał dobrze Gerbera i wiedział, że ten człowiek, gdyby wpadł w ręce sprawiedliwości, nie zawahałby się ani na chwilę oskarżyć go o udział w morderstwie, ba! więcej: o nakłonienie go do popełnienia zbrodni. Poznał to wreszcie z zachowania się Gerbera, który już teraz otwarcie mu groził.

Przypomniał sobie, że ma w kieszeni upragniony trzos Wintersa. Powoli, ostrożnie wyjął trzosik i spojrzawszy nań zadrżał.

Widok krwawych plam znów przywiódł mu na myśl śmierć w krześle elektrycznem.

— Krew... krew... — wyszeptał. — Trzeba to zniszczyć... spalić...

Wysypał kamyki na łóżko. Było ich przeszło dwieście, rozmaitej wielkości i barwy. Choć nie szlifowane, mieniły się w świetle wschodzącego słońca wszystkiemi kolorami tęczy.

Widok tych kamieni uspokoił go cokolwiek.

— Głupstwo — pomyślał. — Gerber zbyt przebiegły na to, żeby dać się wytropić. Zresztą noc była i nikt go widzieć nie mógł. Będzie mu chodziło przecież o własną skórę i potrafi zatrzeć ślady.

Przebierał palcami kamienie, mieszał je i obliczał w myśli, za ile będzie można je spieniężyć. Nie lękał się trudności

przy sprzedawaniu zrabowanych kamyków, bo znał pasera, który zawsze był gotów wszystko kupić, bez względu na pochodzenie przyniesionych mu rzeczy, o ile tylko widział w tem i suty zysk dla siebie. Bolała go jednak myśl, że taki paser nie zapłaci ani połowy prawdziwej wartości, a tu jeszcze trzeba było dzielić się z dwoma wspólnikami.

— Gdyby tak wyjechać z tem do Europy — myślał — mógłbym sprzedać poprostu w Amsterdamie lub Antwerpji w którejkolwiek wielkiej firmie szlifierskiej, albo dać je oszlifować i już gotowe tu przywieźć spowrotem, a wtedy uzyskałbym napewno pełną ich wartość. Ale Gerber nie zechce czekać, a jeżeli nie pokazałbym się mu jutro z pieniędzmi, będzie śledził każdy mój krok. Djabli nadali, że wciągnąłem go w ten cały interes...

Spojrzawszy na opróżniony trzosik, przypomniał sobie, że trzeba zniszczyć ten fatalny dowód zbrodni. Zabrał kamienie do chusteczki i schował je do kieszeni. Trzosik zawinął w papier i wyszedł z pokoju. W domu wszyscy jeszcze spali. Na dworze padał już od kilkunastu minut drobny, gęsty deszczyk.

Harden okrążył dokoła dom i wąską ścieżką wszedł w zarośla. Był pewny, że nikt go tu zobaczyć nie może, gdyż ścieżka prowadziła tylko do niedalekiej polnej drogi, którą bardzo rzadko jeździli okoliczni farmerzy, i to tylko w porze robót polnych.

Usiadłszy kilkadziesiąt kroków, wszedł w gęste krzaki i zajął się zbieraniem suchych gałęzi. W przeciągu kilku minut miał ich już sporo. Po chwili rozpalił ognisko i patrząc, jak płomienie obejmowały ułożony stos, w sam środek ognia wrzucił skrwawiony trzos Wintersa.

Nie długo trwało, a z gałęzi i trzosa pozostała tylko garstka popiołu.

Odetchnął z zadowoleniem i zwrócił się ku domowi. Po drodze upatrzył drzewo, wygrzebał scyzorykiem trochę ziemi z pod korzeni i wsunął w jamę chusteczkę z kamieniami. Przysypał ziemią, udeptał nogami, przysypał zeschłemi liśćmi i drobnemi gałązkami. Najwprawniejsze nawet oko nie poznałoby, że pod tem drzewem mieści się skarb wartości dziesiątek tysięcy dolarów.

Wróciwszy do domu, rozebrał się i chciał usnąć. Sen jednak, pomimo nieprzespanej nocy, nie przychodził. Natomiast chwilowe uspokojenie ustąpiło, a miejsce jego zajął znów niepokój.

— Nie usnę — pomyślał. — Czy aby tamtym udało się przejechać niespostrzeżenie do miasta? A może już znaleziono zwłoki Wintersa i w tej chwili telefony alarmują szeryfów i policję? Może Gerber już aresztowany, powiedział, gdzie są zrabowane kamienie?

Włosy zjeżyły mu się na głowie ze strachu. Zerwał się z łóżka, narzucił na siebie ubranie i zbiegł na dół. Cicho otworzył drzwi sali restauracyjnej i wszedł za bufet. Wyszukał butelkę dobrej, mocnej wódki, nalał pełną szklankę i duszkiem wychylił. W jednej chwili poczuł, jak moc alkoholu rozchodzi się po ciele i wypiera uczucie niepokoju i strachu.



W kościele Minorytów we Wiedniu odbył się ślub ks. Alfonsa de Bourbon, bratanka ekscesarzowej Zyty. Zaślubiny arystokratycznej pary zgromadziły elitę międzynarodowej arystokracji, przeważnie członków dynastyj, zasiadujących przed wojną na tronach europejskich. Ilustracja nasza przedstawia ceremonję zaślubin.

— Jestem zmęczony i niewyspany — mruczał. — Potrzebuję wzmocnienia i wypoczynku. Nie mam powodu do obawy. Gerber już dojeżdża do miasta, a tamtego może dopiero za kilka dni znajdą... Głupstwo...

Siadł na krześle za bufetem i nalał sobie drugą szklankę. Zanim upłynęło pół godziny, kwartowa butelka była wypróżniona. W głowie mu się kręciło, szumiało jak we młynie, ale poprzedni strach ustąpił. Nie był zupełnie pijany, bo w długoletniej swej karjerze szynkarza nauczył się pić wiele, nie upijając się, ale był w stanie mocno podnieconym.

— Pójdę spać — rzekł do siebie. — A po południu biorę kamienie i do miasta. Najgorzej, że temu złodziejowi trzeba dać kilka tysięcy...

Wszedł po schodach na górę i zataczając się już miał otworzyć drzwi do swego pokoju, gdy posłyszał szelest w pokoiku Haneczki, leżącym na końcu korytarza.

— Ta sikorka już nie śpi — mruknął. — Ciekaw jestem, dlaczego już wstała. Trzeba zobaczyć.

Podszedł na palcach pod drzwi i wziął za klamkę. Drzwi bez oporu uchyliły się. Wszedł i zamknął drzwi za sobą.

Haneczka siedziała w bieliźnie na łóżku i czytała trzymaną w ręku kartkę. Na widok wchodzącego opiekuna zatrzęsła się z przerażenia i szybkim ruchem schowała się pod kołdrę. Karteczkę wsunęła pod poduszkę.

Harden zataczając się podszedł do łóżka. Nie zauważył kartki.

— Cóż to, panienka już nie śpi? — uśmiechu. Dziewczyna, zarumieniona po spytał, wyszczerzając zęby w cynicznym uszy, nie odpowiadała. Po chwiejnym kroku i bełkocącej mowie poznała, że Harden nie był trzeźwy.

On tymczasem siadł ciężko na łóżku i mówił:

— No, dlaczego nie odpowiadasz? Przyszedłem powiedzieć ci dzieńdobry... He, he, he...

Alkohol odurzał go coraz bardziej. Zapomniał o wszystkiem na widok tej młodej, świeżej dziewczyny, która była tak blisko...

Nagłym ruchem chwycił kołdrę i zdarł ją do połowy. Z pod cienkiej bielizny błyszczały jędrne, różowe piersi dziewczęcia.

Zanim zdołała podciągnąć kołdrę spowrotem, Harden przyległ gorącemi wargami do jej drżącego ciała. Silnemi łapami przytrzymał jej ręce i opanowany niepohamowaną namiętnością, odurzony alkoholem, całował zapamiętale szyję jej, twarz i piersi.

— Panie Harden! — krzyknęła rozpaczliwie — ale ciężka ręka opiekuna spadła na jej twarz i dalsze słowa ugrzęzły jej w gardle.

— Milcz! — syknął rozwścieczony. — Oddawna już czekałem na tę chwilę... Moja... jesteś... rozumiesz? Moja!...

Napół przytomna z przerażenia patrzała szeroko otwartemi oczyma na wykrzywioną wyrazem nieokiełznanej żądzy twarz opiekuna i nagle, szybko jak błyskawica wyrwała rękę z pod ciężaru ciała Hardena i wpiła mu paznokcie w policzek. Instynkt samoobrony szepnął jej, że tylko tym sposobem zdoła uchronić się od gwałtu i hańby. Szarpnęła silnie i na twarzy Hardena pokazały się długie pasma krwi...

Zgrzytnął zębami z bólu i wściekłości. W tej chwili Haneczka wyzwoliła się z jego uścisku i wyskoczyła z łóżka. Zanim jednak dobiegła do drzwi, Harden chwycił ją za rękę i gwałtownie przytrzymał.

— Stój! — wycharczał wściekle. — Nie krzycz, nic ci nie zrobię...

— Niech pan wyjdzie stąd w tej chwili — zawołała. — Inaczej, cały dom rozbudzę!

— Zapłacisz mi za to — syknął przez zęby, ocierając skrwawioną twarz. — Popamiętasz Hardena!

— Niech pan natychmiast opuści ten pokój — powtórzyła, wskazując ręką drzwi.

Tyle było mocy w jej głosie, że Harden, choć odurzony alkoholem i nieokiełznaną żądzą, nie odrzekł ani słowa i wyszedł z pokoju.

Gdy zamknęły się drzwi za nim, Haneczka chwilę stała bez ruchu na środku pokoju i ciężko oddychała. Przedtem już, w nocy, gdy przeczytała kartkę Wintersa, postanowiła opuścić potajemnie dom Hardena i, jak Winters pisał, uciec z nim do New Yorku. Teraz postanowienie to wzmocniło się. Czuła, że nawet gdyby nie była dostała listu od Wintersa, dalszy jej pobyt w tym domu był niemożliwy.

Wydobyła kartkę z pod poduszki i jeszcze raz uważnie ją przeczytała.

„Haneczko",

— pisał Winters —

nadeszła chwila, że trzeba, abyś opuściła dom Hardenów. Opiekun twój, który podstępem rozłączył cię z ojcem, chce odebrać ci to, co przez wiele lat pracy ojciec twój dla ciebie uzbierał. Zanim ojciec wróci, znajdziesz bezpieczne pomieszczenie w New Yorku, dokąd zawieziemy cię, jeżeli postąpisz tak, jak cię o to proszę. Jutro wieczorem, gdy ściemni się zupełnie, wyjdź z domu niespostrzeżenie i idź drogą w kierunku stacji tramwajowej. Przy pierwszej poprzecznej drodze będziemy czekać na ciebie z samochodem. Ja i Stefan Lubicz, który jest wtajemniczony w całą sprawę. Ufaj mi, drogie dziecko. Kartkę zniszcz.

Winters."

Ubrała się w najskromniejszą sukienkę i zeszła na dół. Zajrzawszy do kuchni, ujrzała, że stara murzynka, Marja-Anna, wstała już i krzątała się żywo, rozpalając ogień w piecu kuchennym.

Na widok wchodzącej o tak wczesnej porze Haneczki, murzynka aż krzyknęła z podziwu:

— A to co znaczy, złotko? Tak rano i już jesteś na nogach?

I w poczciwych jej oczach zamigotał niepokój.

— Czy może jesteś chora? — zapytała, biorąc dziewczynę za rękę.

— Nie, Marjo-Anno, — odpowiedziała Haneczka. — Nic mi nie jest. Wstałam, bo spać nie mogłam — wykręcała się niezręcznie.

— Ej, coś w tem jest innego — mówiła murzynka, patrząc w oczy Haneczki. — Tobie coś dolega, dziecko. Powiedz starej Marji-Annie, może będzie mogła ci pomóc...

Nagle Haneczka rzuciła się na szyję murzynce i z ócz jej potoczyły się rzęsiste łzy. Długo płacz wstrząsał jej ciałem. Uczuła gwałtowną potrzebę zwierzenia się tej jedynej w całem otoczeniu życzliwej duszy. Wśród łez i tłumionego łkania opowiedziała Marji-Annie całe przejście, jakie miała z Hardenem.

— Pijany był — mówiła — i wszedł nagle do mojego pokoju. Nie spałam już i siedziałam na łóżku, gdy pan Harden wszedł, mówiąc, że chce powiedzieć mi dzieńdobry. Schowałam się pod kołdrę, ale on kołdrę ściągnął ze mnie i zaczął mnie gwałtownie całować.



Efektowne zdjęcie, przedstawiające widok z lotu ptaka na stadjon olimpijski w Berlinie.

Na twarzy murzynki odbiło się oburzenie.

— Mów dalej, złotko, — rzekła, gdy Haneczka, w rozpamiętywaniu tej strasznej chwili, zamilkła i nie mogła utulić się w płaczu.

— Zaczął mnie całować i ściskać. Chciałam krzyczeć, ale zatkał mi ręką usta, a taki był przytem straszny, że myślałam, iż mnie zamorduje... Wtedy... — mówiła trzęsąc się ze strachu — podrapałam go po twarzy i puścił mnie...

— Podrapałaś? Dobrześ zrobiła, dziecko. Ja na twojem miejscu byłabym mu oczy wydrapała...

— Zazgrzytał zębami i powiedział mi, że zapłacę mu za to. A potem, gdy zaczęłam wołać, że cały dom rozbudzę, wyszedł z pokoju. Co ja temu człowiekowi zrobiłam, że tak mnie prześladuje?

Marja-Anna pogłaskała ją po głowie.

— Zły to człowiek, złotko, — rzekła. — Ale po tej nauczce, wątpię, czy zechce mu się jeszcze cię napastować.

Haneczka potarła oczy i patrząc na poczciwą służącą, powiedziała cicho:

— Marjo-Anno, ja nie zostanę w tym domu. Dziś jeszcze ucieknę do New Yorku i tam będę czekać, aż mój tatuś wróci...

— Bój się Boga, dziecko, a cóżbyś robiła w mieście sama, nie mając nikogo znajomego? Zmarniałabyś z kretesem...

— Nie, Marjo-Anno. Gdyby nawet pan Harden nie był mnie napadł dziś rano, i tak byłabym wieczorem uciekła z tego domu. Mam przyjaciół, którzy czuwają zdaleka nade mną. I wczoraj właśnie dostałam list, żeby opuścić ten dom...

Marja-Anna badawczo spojrzała na nią.

— Masz przyjaciół, powiadasz? Hm... Czy to aby naprawdę przyjaciele? Ja wiem tylko o jednym człowieku, któremu mogłabyś zaufać, a ten oddawna już nie daje znaku życia. Wiesz o kim mówię?

— Domyślam się — odparła Haneczka. — O Stefku, prawda?

— Właśnie. Tylko, że ten Stefek jakoś przestał się interesować tobą...

Na twarz Haneczki wystąpiły silne rumieńce.

— Nie mów tak, Marjo-Anno — rzekła. — Stefek nie zapomniał o mnie i właśnie on jest jednym z tych przyjaciół, którzy chcą mnie stąd wyrwać.

— A inni? — badała ją murzynka.

— Drugim moim przyjacielem jest pewien pan Winters, który zna mojego tatusia i przywiózł mi list od niego i ma dla mnie jakieś drogie kamienie, za które dostanę bardzo dużo pieniędzy.

Murzynka słuchała ciekawie, gładząc dziewczynę po główce.

— Dziś wieczorem ucieknę stąd, Marjo-Anno, a jak tylko mój tatuś wróci i będę razem z nim mieszkać, zaraz ciebie stąd zabierzemy, dobrze? Tylko musisz mi pomóc wydostać się stąd... Nie zdradzisz mnie...

— Ale jakże ty możesz tak uciekać? Jeszcze do tego w nocy, jak ciemno?

— Pan Winters i Stefek będą czekać na mnie niedaleko stąd. Mają przyjechać samochodem i jak tylko się pokażę, zaraz mnie zabiorą.

Marja-Anna przyrzekła Haneczce, że nikomu nie powie o zamierzonej ucieczce, i zapewniła dziewczynę, że w razie potrzeby gotowa jest pomóc zmylić czujność Hardenów.

Uściskała ją serdecznie i ucałowała, bo prawdziwie pokochała spokojną i cichą sierotę.

— Idź dziecko — rzekła rozczulona — i niech cię Bóg prowadzi. Tu w tym domu nic dobrego cię nie czeka. A zanim odjedziesz, przyjdź jeszcze pożegnać się ze starą, czarną babą, która jak własne dziecko cię kocha.

Ciąg dalszy w następnym numerze.

MARJA REUTT autorka „Zemsty Cyganki"

Co zazdrość może

ROMANS WSPÓŁCZESNY

5)

Podszedł do biurka w swoim pokoju — może tam leży list do niego? Niema nic! Wbiegł do drugiego pokoju, rzucił się do biureczka żony — drżącemi, niecierpliwemi rękami przerzucił papiery na niem leżące... Nigdzie nic, ani znaku... Jednego słowa pożegnania! — Ach, naturalnie. — Niepotrzebne dla kogoś, kogo się porzuca bez żalu. Nie uważała za stosowne tłumaczyć się — a może wstydziła się, nie znajdowała odpowiednich słów? Naturalnie — cóż mogła mu powiedzieć? Miała jeszcze własnemi słowami powtarzać cios, który mu zadała wyjeżdżając?!

Złamany, sam, bardziej samotny, niż był przedtem, bo już zaznał słodyczy szczęścia we dwoje z jedyną, ukochaną nad wszystkich na świecie istotą. I nagle pustka. Niema Wandy, jakby jej nigdy nie było, gorzej jeszcze, bo przedtem nie wiedział przynajmniej, ile szczęścia ona dać mu może... Zniknęła z jego życia tak niespodziewanie i nagle, jak się w niem pojawiła...

— — — — — — — — —

Oto wszystko wokoło niego leży w gruzach — całe jego życiowe szczęście, cała przyszłość, którą u boku Wandy wyobrażał sobie tak rajsko.

Bezwładnie prawie, złamany, przybity, siadł na pierwszem krześle, które się koło niego znalazło i oddał się myślom o tych wypadkach, które były istotnym wstępem do zniknięcia Wandy.

Tak, kłamstwem była jej miłość — ale nie były kłamstwem te majaczenia Tomasza, te wyznania o dawnym ich dwojga stosunku, które wyrywały mu się w gorączce...

Przypomniał sobie tę piekielną, straszliwą noc i dziwny poranek, jaki potem nastał i rozmowę, jaką miał z Tomaszem — a w której odrzucił propozycję Tomasza zawiezienia jakichś zleceń dla Wandy. Oświadczył wtedy Tomaszowi, że jego, profesora, żona nie może i nie powinna się z nim nigdy widzieć — och, lecz Tomasz nie zastosował się do tego życzenia.

Właśnie przeciwnie... Teraz nie żal mu zupełnie, że dał inne, tak niebezpieczne zlecenie Tomaszowi — odwiezienia do Polski jego zbiorów, wśród których znajdowała się żywa śmierć. Jakże to było?...

Toczyli wtedy z Tomaszem rozmowę o najwyższem napięciu, która mogła przeistoczyć się w dziką scenę nienawiści, w zazdrosne zmierzenie swych sił i praw do jednej ukochanej kobiety, gdy groźną tę scenę przerwał metys, który wbiegając, zawołał:

— Senior, senior — twoja biec bardzo prędko... tam duża, piękna bardzo czerwona żmija...

Profesor wybiegł wtedy i zobaczył pilnowany przez murzynów rzadki okaz wspaniałej żmiji koralowej — prawie że bezwładnej, bo ociężałej po świeżem pochłonięciu jakiejś ofiary. Mieniące się czerwonemi plamami cielsko żmiji zaledwie ruszało się powolnemi poruszeniami, choć łeb podnosił się groźnie i zjadliwie. Murzyni przytrzymywali widełkami jej szyję, profesorowi udało się łatwo usunąć jadowite zęby...

Po schwytaniu żmiji, napięcie pomiędzy profesorem i Tomaszem przeszło i obaj zaczęli mówić o tem, że Tomasz, odjeżdżając do Polski, zawiezie ze sobą zbiory, wśród nich także koralową żmiję.

Tomasz rad był tej żmiji, gdyż usprawiedliwiała ona poniekąd jego wyjazd, a przywiezienie tych zbiorów dawało mu sposobność do pochwalenia się swym udziałem w wyprawie i pięknemi jej rezultatami — a profesorowi jednocześnie przechodziły przez głowę myśli, które nie były zupełnie czyste wobec domniemanego rywala. Widział, że schwytany okaz żmiji koralowej, jednej z najjadowitszych, nie był samcem, lecz samicą, widział, w jakim ta żmija była stanie — oddawał ją mimo to do odwiezienia Tomaszowi: lecz jednocześnie nie dające się zwalczyć poczucie uczciwości kazało mu zwrócić uwagę Tomasza na niebezpieczeństwo, na jakie go sam świadomie narażał.

— Chcesz zabrać i tę żmiję wśród zbiorów — to ją weź, ale pamiętaj, że jest to samica...

— Więc cóż z tego? — przerwał mu Tomasz ze zdziwieniem.

— To, że żmije koralowe nie wylęgają się z jaj w piasku, lecz wydają na świat płód żywy...

— Ach, to doskonale — zawołał Tomasz, który nie zauważył złowrogiego odcienia groźby zarazem i pół ostrzeżenia, ukrytych w tej informacji — zawiozę jeszcze ciekawsze zbiory: być może, że uda mi się przywieźć do Polski całą rodzinę młodych żmij koralowych...

Potem rozstali się — Tomasz ruszył w drogę wcześniej, aby zdążyć na okręt, odjeżdżający do Europy.

— — — — — — — —

Teraz profesorowi stanęła ta cała scena przed oczami jak żywa. — Czy mógł on w swem sumieniu robić sobie wyrzuty? Ostrzegł Tomasza o niebezpieczeństwie, jakie wiezie ze sobą, zabierając żmiję — lecz Tomasz nie zwrócił na to uwagi. Może los tak pokierował, że sam wybrał on sobie narzędzie kary za zdradę, jakiej dopuścił się wobec profesora?...

Lecz kto tu właściwie był zdrajcą?

Jeżeli Tomasz znał Wandę wcześniej, zanim ją poznał profesor, to nie mogło być mowy o zdradzie z jego strony...

Ponieważ zaś on sam, poznając Wandę i pozyskując jej miłość, również nic nie wiedział o jakimkolwiek stosunku, który łączył z nią poprzednio Tomasza, też nie popełnił wobec niego żadnej zdrady...

Właściwie ona tylko była zdrajczynią — a oni naraz mimowoli znaleźli się wobec siebie w charakterze dwóch rywali — mimowolnych, lecz mimo to już napełnionych uczuciem niechęci wobec siebie.

Z jaką pożądliwością patrzył Tomasz na fotografję Wandy — jego żony...

Lecz profesor musiał się przyznać przed sobą, że i on w tej chwili miał dla przyjaciela tylko uczucie bardzo bliskie nienawiści.

• • •

Profesor zeszedł na dół i odszukał starego ogrodnika, a zarazem dozorcę willi, aby dowiedzieć się przecież od niego czegoś bliższego o wyjeździe Wandy. Dozorca nie wiedział prawie nic. Mógł powiedzieć profesorowi tylko tyle:

— A to, proszę pana, trzy dni temu przyjechał tu jakiś pan, rozmawiał z panią i odjechał, a potem niedługo pani i Magdalena ubrały się i wyjechały, a mnie kazały pilnować domu...

— A więc ma już pewność — pewność zdrady! „Jakiś pan" to oczywiście Tomasz — wyprzedził go podstępnie, przyszedł jak złodziej i ukradł mu Wandę. Lecz nietylko on jest winien — ta kradzież przyszła mu zbyt łatwo, ona wykraść mu się pozwoliła. Wystarczyło, aby Tomasz pokazał się na chwilę, a już poszła za nim — zapomniała o swoim mężu tak, jakby on nie istniał nigdy w jej życiu...

Profesor czuł się nietylko oszukany, ale i poniżony. Piekąca zazdrość zalewała mu serce falą goryczy, niedawny bezwład i przygnębienie ustąpiły miejsca wściekłości i pragnieniu zemsty...

...Czemprędzej rzucić się za nimi w pogoń, dopędzić, nie czekać, aż im jad żmiji wymierzy sprawiedliwość za zdradę — lecz samemu zabić oboje! Gdy stanie przed nimi jak groźny mściciel, śmiertelny strach da im poczuć, że nie wolno go bezkarnie zdradzić, oszukać i poniżać... Wyprzedzili go o trzy dni, więc tembardziej musi się spieszyć z pogonią.

Nie dbając o rezultaty swej pracy podczas wyprawy, profesor, jak stał, zostawiwszy walizy i pakunki z notatkami, zasuszonemi roślinami i innemi zbiorami na korytarzu willi, wybiegł szybko, kierując się do gmachu konsulatu. Och, na szczęście okręty do Europy nie odpływają codziennie — dowie się, w którą stronę skierowała swą ucieczkę

— — — — — — — — —

Gdy profesor wbiegł do lokalu konsulatu, nie czekając nawet aż woźny, który poszedł z zameldowaniem, powróci poprosić go do wnętrza, z największem zdumieniem posłyszał już od progu wyrazy uznania i zachwytu dla Wandy.

— A, to pan, panie profesorze — szczęśliwy z pana człowiek, w czepku się pan urodził: żona taka śliczna, taka dzielna, choć taka młoda, choć jeszcze prawie dziecko, taka przedsiębiorcza...

Profesor popatrzył na nich ze zdumieniem, a zarazem z irytacją. Czy to urągliwe żarty z niego? On przychodzi do konsulatu, aby uzyskać wskazówki, któreby go naprowadzić mogły na ślad niewiernej żony, a ci wygłaszają pochwały na jej cześć.

— Przepraszam panów — przerwał głosem dość ostrym — to chyba jakieś nieporozumienie. Prosiłbym uprzejmie o podanie mi dokładniejsze z jakiego powodu panowie składają mi te gratulacje? Przyjechałem zaledwie przed godziną do Kurytyby z wnętrza kraju i zastałem dom pusty. Ogrodnik dozorca nie mógł mi dać żadnych wyjaśnień, gdzie się znajduję moja żona. Powiedział mi tylko, że wyjechała, ale nie wie dokąd. Przyszedłem więc do panów, w nadziei, że panowie będą mogli udzielić mi jakichś wskazówek...

Skolei urzędnicy konsulatu popatrzyli na profesora ze zdziwieniem.

— Jakto, pan profesor nic nie wie?

— Oczywiście, że nic, jak już powiedziałem. — Proszę mi opowiedzieć, co zaszło.

— A więc musimy opowiedzieć panu wszystko od początku. Pięć dni temu zgłosił się do nas pański asystent, p. Tomasz Szelestowski, a był cały roztrzęsiony, rozgorączkowany, wyraźnie wyczerpany. Prosił nas, abyśmy się zajęli odesłaniem do Polski pańskich zbiorów naukowych, i to bezzwłocznie — ze względu na to, że w transporcie jest żywa żmija, rzadki okaz żmiji koralowej. Ta okoliczność nie pozwoliła nam podjąć się wyekspedjowania zbiorów, ani też pozostawienia ich u siebie. A ponieważ pan Szelestowski objawiał zdenerwowanie, poradziliśmy mu, aby zwrócił się do pańskiej żony. Wziął od nas jej adres i wyszedł. Za jakieś dwie godziny powrócił, ale już nie sam, lecz z pańską żoną, która oświadczyła, że podejmie się odwieźć te zbiory do Polski i prosi o wydanie potrzebnych dokumentów. Musieliśmy się bardzo z tem spieszyć, gdyż pociąg do portu Santos odchodził jeszcze tego samego wieczora...

Profesor, który przez cały czas słuchał tego wyjaśnienia z uwagą i niepokojem, w tem miejscu jeszcze wyraźniej zbladł. Słowa urzędnika jakby obracały nóż w jego niezabliźnionej ranie. Zdawało mu się, że pod tym ciosem zemdleje... Ale szybko uciekali ci oboje! Przypuszczenia jego potwierdzają się całkowicie. Dla pewności jednak zapytał jeszcze głosem stłumionym i ochrypłym ze wzruszenia:

— A Tomasz?...

— Oh, więc pan rzeczywiście zupełnie nic nie wie? Pan Szelestowski jest w szpitalu. Mówiliśmy już, że wyglądał wyczerpany. Okazało się, że się trzymał tylko nerwami do tego momentu, kiedy zobaczył, że sprawa powierzonych mu przez pana zbiorów jest ostatecznie pomyślnie załatwiona. Bo zaledwie załatwiliśmy sprawę dokumentów podróżnych dla pańskiej żony, zemdlał u nas w lokalu. Umieściliśmy go w lecznicy związkowej. Leży tam niebezpiecznie chory — ma nadzwyczaj ciężką gorączkę tropikalną. Stale jest nieprzytomny wciąż majaczy — w majaczeniach podobno ciągle mówi o wężach, a przedewszystkiem o żmiji koralowej...

— To znaczy, że nie pojechał z moją żoną?

— Naturalnie, że nie. Pani profesorowa może by go była nawet nie zostawiła w takim stanie, ale spiesząc się, odjechała, gdy on jeszcze pozostał u nas w konsulacie. Ona też nie wie dokładnie, co się z nim dzieje.

Ta ostatnia informacja była promieniem oświetlającym zupełnie inaczej całą sprawę. Więc nie było żadnego porozumienia między tymi dwojgiem — żadnej wspólnej ucieczki, żadnej zdrady!...

— Ta wieść była zarazem radosna i zabójcza — zdejmowała mu jeden ciężar z piersi, lecz kładła drugi: wyrzuty sumienia. O, los żartował zeń okrutnie. Profesor czuł, że chwyta go szaleństwo w tym kręgu nieporozumień, z których jedno było gorsze od drugiego. Jego plan zemsty był zbrodniczy tembardziej, że zwracał się przeciwko niej, zupełnie niewinnej! A Tomasz — przecież jego troską było tylko opiekowanie się zbiorami i dostarczenie ich jak najszybsze do Polski...

— Co ja zrobiłem!... Co uczyniłem! — chwycił się profesor rozpaczliwym ruchem obiema rękoma za głowę i nie żegnając się z nikim, wybiegł z konsulatu.

Urzędnicy pobłażliwie pokiwali głowami.

— Zwarjował, albo też ma gorączkę tropikalną.

— — — — — — — — —

Tymczasem profesor, wypadłszy przed gmach, zatoczył się na chodniku jak nieprzytomny. Powtarzając wciąż: „com ja zrobił! — com za zrobił nieszczęsny!“ Zebrawszy naprędce myśli, postanowił pójść do lecznicy, gdzie umieszczono Tomasza. Jednakże tam nie dopuszczono go do chorego...

— Bardzo pana przepraszam, ale chory śpi. Nie wolno go budzić. Jest nieprzytomny i bardzo wycieńczony — dobrze, że nareszcie zasnął, bo sen to najlepsze i najskuteczniejsze dla niego lekarstwo — tłumaczyła mu sanitarjuszka. — Dlatego też musi pan narazie zrezygnować z wizyty. Może pan zechce przyjść przed wieczorem, chory wtedy trochę przytomnieje...

Profesor wyszedł na ulicę. Szedł przed siebie, bez celu, ze zgrozą i przerażeniem w duszy. Złociste, gorące promienie podzwrotnikowe słońca, które zalewały ulice, bujna i jaskrawo kolorowa roślinność egzotyczna wokoło, tworzyły jakby umyślny kontrast z mrokiem, który zapełniał jego duszę. Był to mrok zbrodni — nie popełnionej jeszcze może, lecz poprostu potwornej. Myśli w dalszym ciągu wirowały mu w głowie, przynosząc wciąż te same wyrzuty sumienia.

Jego zbrodniczy zamiar zwrócił się przeciwko niemu samemu! Przeciwko tej, która była dla niego światem całym, a która teraz była mu podwójnie drogą, gdy przekonał się, jak pohopnie i nikczemnie ją osądził. W myśli klękał przed nią, błagając o przebaczenie — ale przecież to teraz na nic się nie zdało, nieszczęście pojechało z nią razem: nieszczęście w postaci jego własnej zbrodni. Jak je można odwrócić? Słowa dawno zapomnianej modlitwy cisnęły mu się na usta, lecz nie mogły mu się przez nie przecisnąć, gdyż były one bluźnierstwem wobec jego zamiaru.

Profesor wrócił do willi. Tu chodził z kąta w kąt, oglądając skolei wszystkie sprzęty, wszystkie drobnostki, których dotykała Wanda, wpatrywał się w jej fotografję — a spojrzenie jej cudownych oczu z portretu napełniało go niemal szaleństwem. Na samą myśl, co stać się z nią może, zaczynał miotać się spowrotem po wszystkich pokojach, nie śmiejąc spocząć. Nie wolno tracić czasu, trzeba jechać, trzeba ratować...

— — — — — — — — —

Podróż pociągiem idącym z Kurytyby do portu Paranagua — wzdłuż łańcucha górskiego Serra do Mar, po skraju dżungli, po wiaduktach nad przepaściami wśród przepięknego krajobrazu, który kiedyindziej byłby zachwytem jego oczu — tym razem była tylko męczarnią. Profesor nic nie widział przed

sobą, nie widział cudownej zmiany krajobrazów. Rozdygotane jego nerwy chciałyby, gdyby mogły, przyspieszyć bieg pociągu. Liczył niemal obroty kół. Każdy ich stuk rozlegał się bolesnym odgłosem w jego mózgu — prędzej, prędzej, byle zdążyć, dogonić, albo choć czegoś się dowiedzieć! — Jakim okrętem pojechała do Polski — uprzedzić, ostrzec w porę...

W porcie statek jadący do Santos stał już na redzie, u brzegu zaś motorówka oczekiwała podróżnych. Profesor wpadł do biura portowego, aby się poinformować o Wandę. Nikt tu jednak o niej nic nie wiedział, ani jej nie zauważył.

Szalony niepokój nie przestawał miotać jego sercem. Wsiadł do motorówki, która dość szybko podwiozła podróżnych do statku... Jeszcze pół godziny postoju, i statek przy zapadającym już mroku zakołysał się mocno po podniesieniu kotwicy, szarpnął i ruszył, prując fale.

Nareszcie!..

— Och, co za straszliwa to była noc! — Noc bezsenna, pełna dalszego ciągu męczarni, myśli szalonych i rozpaczliwych. Parne ciepło tej podzwrotnikowej nocy, jej aksamitna czerń, djamentowy blask gwiazd południowego nieba — wszystko to pozostawało poza świadomością opętanego jedną jedyną myślą człowieka...

— — — — — — — —

...Nad ranem statek wjechał do portu Santos. Profesor był pierwszym niemal, który opuścił jego pokład i ruszył czemprędzej na miasto na poszukiwania. Napróżno jednak chodził od biura do biura okrętowego — nikt nic nie wiedział, nikt nie słyszał ani nie widział dwóch kobiet, które miały przyjechać z Paranagua. Nikt nie zauważył, aby opuszczały one port, lub odjechały statkiem dalej.

— — — — — — — —

Po bezsennej, straszliwej nocy, spędził profesor w Santos dzień również pełen grozy... Telegrafował do Rio de Janeiro do biura portowego, do biur okrętowych różnych linij, do poselstwa — zewsząd nadchodziły jednobrzmiące odpowiedzi, że nikt tu nic nie wie o pani Wandzie Stawińskiej. Osoba tego nazwiska nie zgłaszała się do pselstwa z dokumentami podróżnemi, w żadnym spisie pasażerów okrętów odjeżdżających do Europy, również nazwisko to nie figurowało...

Wanda znikła poprostu bez śladu, porwał ją zły los i niósł ku niewiadomemu, groźnemu przeznaczeniu. Jego zbrodnia miała się dopełnić — zbrodnia, a zarazem kara za własną zbrodnię...

— — — — — — — —

Nie było żadnej rady. Żadnego sposobu ratunku — trzeba bezsilnie czekać na to, co los przyniesie.

Tego samego dnia wieczorem wracał do Paranagua. Cały jakby pożółkły na twarzy, z oczami zapadniętemi, z ustami zaciśniętemi boleśnie, siedział w kącie pokładu nieruchomy i przybity. Nie miał do czego spieszyć się. Nie mógł nic zrobić dla przeciwdziałania swemu własnemu dziełu. Samochcąc, niejako własną ręką, zabił ukochaną swoją żonę... Wydał na nią wyrok, że zginie od jadowitych zębów gada. Straszliwy głos w głębi własnej duszy powtarzał mu co chwila, że Wanda nie dojedzie żywa do Europy. Ta okrutna pewność była zarazem zdruzgotaniem jego własnego szczęścia.

* * *

Powróciwszy do Kurytyby profesor poszedł wprost do lecznicy, gdzie leżał Tomasz, aby dla przygłuszenia przynajmniej wyrzutów sumienia użyć w czemś choćby tej jednej niedoszłej swej ofierze...

Tomasz tym razem nie spał — lecz był w dalszym ciągu nieprzytomny: leżał nieruch. skupiając nerwowo palcami kołdrę. Gdy Adam podszedł do jego łóżka, Tomasz nie poznał przyjaciela: nieprzytomnemi, szklistemi z gorączki oczami wpatrywał się w niego, nie widząc go zupełnie. Cóż Adam mógł mu powiedzieć, jak do niego przemówić, czem wytłumaczyć swoje dotychczasowe postępowanie i jak ukoić własny, trawiący jego duszę niepokój i cierpienie? Siedział przy łóżku chorego zupełnie bezradny.

Wreszcie sanitarjuszka wyprosiła go poprostu z lecznicy spowodu zbyt późnej pory. Profesor powlókł się do willi, która była jego domem, ich domem, obecnie martwą siedzibą rozpaczy. Ledwie wlókł nogi ze znużenia i z głodu, którego zresztą nie czuł. Ogrodnik-dozorca wpuścił go do domu, oddając mu list, który przyszedł do niego przed wieczorem...

— List?! — oto może nareszcie coś, co przyniesie ulgę, co wyjaśni ten straszliwy mrok zagadek, który oplątał Adama. — Od kogo może być ten list?

Jeden rzut oka przekonał go, że list jest od Wandy.

Drżącemi rękoma gorączkowo rozerwał kopertę i przebiegał oczami stronice pisma — jej pisma.

„Najdroższy mój i jedyny!

„Nie wiem, jak przyjmiesz wiadomość o mym wyjeździe do Polski. Wahałam się, czy powziąć to postanowienie przed Twoim przyjazdem, ale inaczej nie mogłam zrobić. Widziałam, że jest w grze cała twoja przyszłość — nasza przyszłość i nasze szczęście, bo twoje szczęście jest mojem — może twój honor! Gdy zresztą list ten będziesz czytać, sam już będziesz wiedział, o co mi chodziło. Pan Szelestowski przywiózł mi twoje zbiory, ale sam wobec choroby nie mógł się podjąć ich odwiezienia do Polski, a konsulat nie chciał tego także uczynić. Nie mogłam pozwolić, aby tylumiesięczna twoja praca, tak ciężka i niebezpieczna, poszła na marne, aby ktoś mógł powiedzieć, że cała twoja wyprawa była bezużyteczna. A tu odwiezienie było pilne, bo przecież wszystkie węże są żywe: trzeba je dowieźć żywe, trzeba, żeby ktoś je pielęgnował. Któż się tego podejmie podczas przewożenia, jeżeli nie ja, twoja żona i twoja naturalna pomocnica? Postanowiłam więc, że pojadę ze zbiorami sama.

„Muszę ci dodać, że zbiory będę wieźć tylko okrętem do Gdańska, a tam już czekać na mnie będzie przedstawiciel towarzystwa, które ciebie wydelegowało. Pan Szelestowski zatelefonował do nich.

„Z Gdańska dalej nie pojadę sama, bo chcę przywitać Polskę z Tobą, pod Twoją opieką. Z Gdańska tylko zatelegrafuję do Ciebie po przyjeździe.

„Nie czekaj jednak koniecznie w Brazylji na wiadomość ode mnie, ale gdy tylko skończysz swoją pracę, jedź za mną pierwszym okrętem. Chcę, ażebyśmy jak najprędzej znaleźli się razem i razem wjechali na ojczystą ziemię.

„Pamiętasz, jak układaliśmy sobie tę naszą wspólną podróż do Polski? Zaczęła się inaczej, ale dalszy jej ciąg odbywać musimy oboje razem.

„I teraz zresztą nie jadę sama: wzięłam ze sobą Twoją fotografję. Noszę ją zawsze przy sobie, na sercu, a w nocy kładę obok siebie na poduszkę, aby mieć złudzenie, że choć cząstka Twego ja jest przy mnie...

„Nie niepokój się o mnie, w podróży mi będzie bardzo dobrze. Jadę polskim szkolnym statkiem, który przypadkowo nabierał właśnie wodę w Santos, gdy tam przyjechałam. Cieszę się bardzo, że odbywać będę podróż przez ocean wśród swoich.

„Kapitan taki uprzejmy, dał osobną kajutę dla mnie i dla Twoich zbiorów, a także dla Twoich żmij — teraz dla m o i c h żmij. Klatki z niemi poustawiałam na ziemi i codzień oglądam, czy są w dobrem zdrowiu. Pielęgnuję te gady, jak dzieci, bo chciałabym je wszystkie dowieźć żywe.

(Ciąg dalszy w następnym numerze).

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu

Dobre rady p. Zofji

JEDEN Z WIERSZYKÓW ZAMIESZCZAM DZISIAJ

„Wesoła Irutka". Jeden z wierszyków Pani zamieszczam dzisiaj. Za pozdrowienia dziękuję i w pełni je odwzajemniam.

Na zakończenie oddaję głos Pani:

„Przesyłam serdeczny uścisk dłoni i pozdrowienia — „Smutnej Kazieńce" — „Karinie" — „Smutnej Broniś" i „Duśce". Może napiszecie do mnie, Kochane Siostrzyczki? Osobne pozdrowienia i szczery uścisk dłoni przesyłam „Marylowi"."

CO TO JEST SZCZĘŚCIE?

Czy szczęście to jest kwiat,
Co kwitnie tylko raz?
Czy złoty gwiazdy blask,
Co zrodził się i zgasł?
Czy to jest szał i woń
Wypitych do dna kruż?
Czy dawny, dawny sen
Stęsknionych ludzkich dusz?

„Wesoła Irutka."

Z DNIA NA DZIEŃ"...

„Stefan". W tych dniach otrzymałam krótki apel z nad Bałtyku, może ktoś zainteresuje się nim bliżej?

„Oddawna już pragnąłem nawiązać nić z Czytelnikami „Moich Powieści". Podnietę do przedsięwzięcia tych kroków daje mi liścik „Marleny II". Jestem bowiem również, podobnie, jak wymieniona Pani, zwolennikiem przechadzek po morskiem wybrzeżu. Może „Marlena II" skreśli do mnie parę słów? Z dnia na dzień będę teraz oczekiwał na odzew jakiegoś szlachetnego serduszka."

„CHCIAŁABYM SPOTKAĆ BRATNIĄ DUSZĘ...

„Romantyczna Sonja" przesyła pozdrowienia „Ryśce" — „Erosowi" — „Jagódce z Borów Tucholskich" — „Młodemu Urzędnikowi" — „Smutnemu Edkowi" — „Cyganeczce" oraz „Gladjatorowi".

Oprócz tego pisze:

„Chciałabym za pośrednictwem „Krainy" poznać jakąś bratnią duszę.

Mieszkam na Pomorzu, w niebardzo ruchliwem miasteczku. Jestem podobno przystojną szatynką. Liczę lat 22. Miłuję ogromnie muzykę, co wpływa bardzo na moje romantyczne usposobienie. Sama gram również. Może znajdzie się ktoś o podobnych cechach charakteru i napisze do mnie kilka słów? Odpowiedź murowana."

DZIĘKUJĘ ZA DOBRE SŁOWA

„Zochna z Pomorza." W liście Pani znalazłam dużo serca. Musi Pani być dobrą istotą, pełną życzliwości dla innych. Chyba się nie mylę? Dziękuję Pani za wszystkie dobre słowa i zwracam się do „Leona z Warszawy" — „Dumnego Jelenia" — „Fali Noteci" — „Pandura" i „Poznańczyka wśród lasów", aby zechcieli do Pani napisać. Listy proszę, niech nadeślą Panowie na moje ręce, a przekażę je dalej.

BYŁAM WZRUSZONA

„Rozkoszna Renia". Kochana Dziewczynko! Szlachetny odruch Twego serduszka wzruszył mnie ogromnie. Przyjm ode mnie siostrzane uściski!

Część Twego listu oddaję do druku:

„Przesyłam pozdrowienia: „Dumnemu Jeleniowi" — „Czarnemu Olkowi" i „Te-Em". „Złotemu Jabłku" — serdeczny uścisk dłoni. Może ten ostatni skreśli do mnie kilka miłych słów? „Czerwonemu Koralowi" ślę uściski i prośbę, aby napisał do mnie."

NOWA PRZYJAŹŃ

„Nimfa Leśna II." Witam Panią serdecznie i odrazu zaliczam w poczet członków naszej olbrzymiej „Rodzinki". Nie odbiegam również od utartego zwyczaju i przedstawiam Panią: Pomorzanka, jasna blondynka o błękitnych oczach, pochodzi z inteligencji, obecnie pracuje na wsi, lecz wychowanie odebrała w mieście. To wszystko co mogę o Pani powiedzieć. Łączę bardzo miłe pozdrowienia.

Z WIOSNĄ ZAWITAŁA DO „KRAINY" „JASKÓŁECZKA"

„Smutna Jaskółeczka" wraz z pierwszemi, wiosennemi promykami słonka, przyfrunęła do „Krainy". Witaj, „Smutna Jaskółeczko"! Pragnę, aby Ci było z nami dobrze i abyś zaznała wśród nas jak najwięcej radości.

Budzę ze słodkiej drzemki wszystkie ptaszęta z „Krainy": „Wróbelki" — „Skowronki" — „Kanarki" „Gile" i „Słowiki", aby zbratały się z nowym „skrzydlatym gościem", a przedewszystkiem postarały się Go rozweselić.

SERDECZNOŚCI NIE POSKĄPIMY

„Sportsmenka". Kochana Dziewczynko! Nadesłane wierszyki są proste i miłe, ale brak im techniki. Radzę Ci czytać dużo poezji, a może kiedyś uda Ci się napisać dobry utwór.

Prosisz nas o serdeczność, gdyż mało jej w życiu doznałaś... Kochanie, nie poskąpimy Ci jej nigdy, wzamian jednak żądamy częstej pamięci. Przyjm ode mnie miłe pozdrowienia i wyrazy sympatji.

DZIĘKUJĘ!

„Artylerzysta z pod Gniezna". Dziękuję Panu za sympatyczny list. Uznanie Pana sprawiło mi dużo radości i to dlatego, że początkowo był Pan tak sceptycznie ustosunkowany do „Krainy". Będę bardzo zadowolona, gdy Pan nie zmieni swoich zapatrywań i będzie nadal darzył mój dział zaufaniem i życzliwością. Łączę wiele serdecznych pozdrowień i oddaję na zakończenie głos Panu:

„Przesyłam milutkie pozdrowienia dla całej „Rodzinki". Osobne dla: „Eli" — „Danki" i „Lei", z prośbą o szybką odpowiedź na wysłany list. „Stelli Maris" ślę wesoły, żołnierski uśmiech i przyjacielski uścisk rączki."

DOMYSŁY SĄ NARAZIE BŁĘDNE

„Samotny Rom." „Wenus" — „Augustowiance" — „M-Rysi" — „Leśnej Rusałce" i „Stelli Maris" — dziękuję za nadesłane pozdrowienia, które w pełni odwzajemniam. Pozatem ślę serdeczne pozdrowienia — „Córce Wichru" — „Białej Uajali" i „Cygance z gondoli złudy."

Najpierw przedrukowałam część listu Pana z pozdrowieniami, a następnie przystępuję do dania Panu odpowiedzi:

W pierwszym rzędzie zaspakajam Pańską ciekawość: domysły Pana są narazie błędne, ale teraz już chyba nietrudno będzie się domyśleć prawdy?

Wierszyki — miłe i proste, jednakże wydrukować ich nie mogę ze względu na rytm. Może je Pan poprawi, a może napisze nowe — lepsze? Serdecznie pozdrawiam i ściskam Panu dłoń.

DZIĘKUJĘ!

„Złota Rybka". Dziękuję za wszystkie miłe i dobre słowa! przesyłam Ci za nie, „Złota Rybko" — serdeczny uśmiech.

Dopisek Pani zamieszczam:

„Przesyłam pozdrowienia „Złotemu Jabłku" i dziękuję Mu za pamięć. Szczery uścisk dłoni ślę „Indjaninowi". Może Pan zechce do mnie napisać kilka słów? A może „Jasna Blondyna z Pomorza" napisze list do „Złotej Rybki"?"

CO SIĘ STAŁO Z „WIECZNYM TUŁACZEM"?

„Złoteńko". Apel Pani już się raz ukazał, więc uważam za zbyteczne powtarzać go jeszcze raz. Zamieszczę go ponownie jedynie na specjalne życzenie Pani.

Wierszyk „W cichy wieczór" — słaby. Zamiast niego, przedrukowuję tylko słowa z listu Pani:

„Ciekawa jestem, co się dzieje z „Wiecznym Tułaczem". List, który wysłałam na poste-restante, Gdynia — wrócił.

„Gwidona" proszę o nadesłanie mi utworu: „Idę z Tobą, Jezu". Musi to być śliczny i wzniosły wiersz."

„ROM-MAR" MA GŁOS...

„Rom-Mar". Dziękuję Panu za ciekawe, jak zwykle, wiadomości.

Wierszyki tym razem — słabsze.

Patrzę na niebo ciemno-granatowe,
na gwiazd złocistych niezliczone krocie
i serce moje w bezbrzeżnej tęsknocie
ku twojej stronie zwracają głowę...

Proszę, niech Pan się zastanowi nad powyższą zwrotką, a przyzna mi Pan rację, że podobnych rymów nie można drukować. Czekam na inne wiersze, które niewątpliwie będą lepsze. Na zakończenie zamieszczam kilka słów z listu Pana:

„Przesyłam pozdrowienia dla: „Lońki" — „Lenki" i „Jó-ka". „Elżuni z Torunia" całuję łapki za miłą przesyłkę. „Halušce" przesyłam „coś", co lubi. „Zin z Torunia" dziękuję za gotowość przyjazdu do Warszawy, celem udzielenia mi pewnych interesujących wiadomości. Czekam niecierpliwie!"

W OCZEKIWANIU NA SZCZĘŚCIE

„Dysonans." Niżej podaję apel bardzo sympatycznego Pomorzanina. Apel ten polecam uwadze Sympatyków „Krainy".

„Mieszkam w wiosce, w której zupełnie brak odpowiedniego towarzystwa. Po powrocie ze szkoły (ukończyłem Szkołę Handlową) przebywam tutaj i pędzę dość monotonne życie. Chciałbym chętnie korespondować z Czytelniczkami „Moich Powieści", więc może jedna z nich napisze do mnie? Pierwszeństwo mają „siostrzyczki" o czarnych oczach i ciemnych włosach. Jestem blondynem średniego wzrostu o marzących oczach. Nie mam komu wypowiedzieć się z trosk codziennego życia.. Myślę, że i dla mnie zaświeci gwiazda pogody i rozjaśni zachmurzone czoło, a na mych ustach pojawi się znowu uśmiech upragnionego szczęścia."

ODPOWIEDŹ

„Leśny Bożek" przesyła serdeczne pozdrowienia: „Tęsknocie z Działdowa" — „Jadzi Leśniczance" i „Czarnej Dziewczynce". „Duszyczce" ślę odpowiedź na Jej miły odzew:

„Sprawiłaś mi naprawdę wielką radość przesyłając mi tych kilka miłych słów. Byłem przekonany, że zapomniałaś już o „Duszku", który ustawicznie o Tobie myśli. Życzenia Twoje spełniam. Za pozdrowienia dziękuję i całuję rączki. Łączę moc serdecznych pozdrowień."

PODZIĘKOWANIE

„Tam — Ryszard" dziękuje „Zaczarowanej Cyganeczce" za pozdrowienia."

„Tyś pierwsza mi je przesłała — pisze — i tem samem sprawiła wielką radość. Przesyłam Ci, „Zaczarowana Cyganeczko", również wiele pozdrowień. P. Maryli B. z T. — zasyłam szczery uścisk dłoni."

KTO?

„Filantrop" jest zmartwiony. Prześladuje Go już 26 wiosna i dotychczas nie ma w Jego życiu żadnej zmiany. Kto pocieszy „Filantropa" i wleje otuchę do jego serca?

WIERSZ ZAMIESZCZĘ W MAJU

„Błękitny Rycerz.“ Wiersz Pana zamieszczę w maju, na „Dzień Matki“. Proszę Pana o nadsyłanie dalszych utworów, tylko w miarę możności krótszych. Serdecznie Pana pozdrawiam.

APEL MIŁOŚNIKA PODRÓŻY

„Jesion“. Do „Krainy“ przyjmuję Pana oczywiście bardzo chętnie. Fotografje Pana sprawią mi niewątpliwie dużo radości, więc proszę o nadesłanie.

„Mam lat 26, jestem blondynem o niebieskich oczach. Lubię podróże i to podróże z przygodami...“

Powyższe słowa Pana, mam nadzieję, wywołają echo i jakiś miłośnik lub miłośniczka dalekich wypraw w świat, zechcą nawiązać bliższy kontakt z Panem. Jedno umiłowanie czegoś i jedna tęsknota za czemś, najwięcej ludzi zbliża i zespala, więc napewno będzie i w tym wypadku tak samo.

„NAPISZCIE DO MNIE“...

„Jasnowłosa Cyra“. Przeczytajcie poniższe słowa, a potem napiszcie kilka dobrych słów!

„Jestem młodą blondynką o niebieskich oczach, dość wysoką, mówią, że wesołą. Ulubionym moim sportem to wioślarstwo, pozatem jazda rowerem i gra w siatkówkę. Bardzo lubię korespondować. Mieszkam na wsi i nie mam tutaj odpowiedniego towarzystwa. Nawiązanie korespondencji sprawi mi bardzo dużo radości, napiszcie więc do mnie kilka słów, Drodzy Sympatycy.“

SZKODA CZASU NA PISANIE SŁABYCH POEZYJ

„Czarnulka z Grudziądza.“ Swoją uśmiechniętą twarzyczkę zobaczyła Pani już napewno w numerze świątecznym, prawda? Czy Pani zadowolona?

W ostatnim liściku nadesłała mi Pani znowu jeden wierszyk, niestety... nieszczególny. Musi Pani pożegnać się że złudzeniami, gdyż poetką ani nie jest Pani, ani nią nie będzie. „Szkoda czasu i atłasu“ na pisanie, słabych wierszy, stokroć lepiej zająć się jakąś inną pracą, której można podołać. Chyba mi Pani przyzna rację?

Na zakończenie pozdrawiam w imieniu Pani „Sztubaka“ i zapytuję „Milusię J.“ o powód milczenia? Łączę szczery uścisk dłoni!

ZAMIAST WIERSZYKÓW — ODDAJĘ DO DRUKU LIST

P. W. Fr. R-cz. Pm. Wierszyków Pana nie zamieszczam, natomiast oddaję do druku Pański liścik, który jest znacznie więcej poetyczny:

„Przesyłam dzisiaj wszystkim Członkom „Krainy“ szczere życzenia wszelkiej pomyślności. Szczególnie tym wszystkim, którzy się żalą na smutek, Niechaj ich twarze się rozjaśnią. Jak tęcza po burzy, niech się uśmiechną. Mam nadzieję, że wiosna wpłynie na to więcej, niż moje słowa. Gorzej będzie z „Śnieżkami“! Czy przetrwają one lato w „Krainie“? Może popłyną daleko strumykiem i wrażeniami swemi wzbogacą kiedyś „Krainę“. Czy w „Krainie“ są już „Jaskółki“? Jeżeli nie, to zapewnie wkrótce nadlecą?“

PIERWSZY ZNAK WIOSNY

„Uśmiech Poranku.“ Z liściku Pani wypadły na moje biurko drobne, białe kwiatki — śnieżyczki. Uśmiechnęłam się do nich radośnie i przesłałam Pani w myśli serdeczne podziękowanie. Przesłała mi Pani pierwszy znak wiosny i w wyobraźni mej zbudziła pierwsze, wiosenne wizje. Szary, redakcyjny pokój wydał mi się mimowoli jaśniejszym i sympatyczniejszym. Było mi dobrze i radośnie! I za tę chwilę bardzo Pani dziękuję!

Życzenie spełniam i pozdrawiam w imieniu Pani: „Kapłankę Wschodu“ — „Karinę“ — „Zbłąkaną Gwiazdę“ — „Zenię z lasów“ — — „Księżniczkę Dari“ — „Gałązkę świerku“ — „Nieznanego Chłopca z Kujaw“ — „Jerzego — „Dumnego Lwa“ — „Sokoła z Mazowsza“ — „Będącego w nadziei“ i Tancerza“.

CZY TAK BĘDZIE DOBRZE?

„Basia“. Za nadanie mi „czułego“ przydomku, nie pogniewałam się, owszem byłam nawet z niego nieco dumna.

Prosisz mnie, „Basiu“, o zwrot swych zdjęć, jednakże nie postawiasz tego jako ultimatum, więc zwracam Ci tylko jedną fotografję, a drugą zostawiam sobie na pamiątkę. „Czy tak będzie dobrze? — napisz mi „Basienko“.

O NIE MARZ DZIEWCZĘ — MARZENIA GASNĄ, JAK TE GWIAZDECZKI CO LŚNIĄ O ŚWICIE...

„Płacząca Brzoza“. Z ostatniego listu widzę, że należy Pani do rzędu „stuprocentowych“ marzycieli. Marzycielstwo to bardzo miły przymiot człowieka, byleby nie był przesadny i chorobliwy, gdyż wówczas staje się szkodliwy. Marzycielstwo w takim wypadku jest słabością i człowiek bardzo dużo traci. Przedewszystkiem braknie mu zupełnie energji i trzeźwości, skoro zacznie się gubić w nierealnych fantazjach i jak się to mówi bujać w obłokach. W obecnem szybkim tempie życia taki marzyciel jest człowiekiem nieszczęśliwym i często bezradnym.

Obecne życie wymaga wiele przedsiębiorczości i trzeźwości, więc powinniśmy się wystrzegać marzycielstwa. Spojrzenie nasze na życie, niech będzie zawsze jak najwięcej trzeźwem, a świat urojony — świat marzeń, niech nie będzie nam chlebem codziennym, ale chwilą urozmaicenia.

Tych kilku słów, „Płacząca Brzozo“, przesyłam Ci pod uwagę. Zrób z sobą pewnego rodzaju rachunek sumienia i wycofaj się z błędnej drogi póki czas. Pomarz sobie wolną chwilą i podumaj, ale nigdy nie pogrążaj się zbytnio w marzycielstwie, aby nie stało się ono Twoją drugą naturą.

A teraz jeszcze kilka słów Pani:

„Pozdrawiam moje „Siostrzyczki“ z „Krainy“, a zwłaszcza „Szumiącą Jodłę“ i „Gałązkę Świerku“ i zapytuję Je, czy która z wymienionych Pań nie zechciałaby poznać bliżej „Płaczącej Brzozy“? Jeżeli tak, proszę napiszcie do mnie liściki i prześlijcie na ręce p. Zofji“.

NAPISZCIE KILKA DOBRYCH SŁÓW

„Zawiedzione serce.“ Naturalnie — i dla Pana znajdzie się kącik w naszej „Rodzince“! Serdecznie zapraszam Pana do naszego grona i polecam łaskawej pamięci Sympatyków „Krainy“. Sądzę, że już sam pseudonim Pana natchnie niejednego współczuciem i chęcią skreślenia do Pana kilku dobrych słów. Łączę wiele serdeczności.

NA LIST CHĘTNIE I SZYBKO ODPOWIEM

„Irys“. Sprawę prenumeraty oddałam do załatwienia administracji.

Do „Krainy“ przyjmuję Panią z miłą chęcią i starym zwyczajem wypełniam formalności rekomendacji i to za pomocą wyjątku z Pani listu:

„Jestem wysoką, szczupłą szatynką, podobno dosyć zgrabną, ale... brzydką. Może ktoś z „Rodzinki“ napisze do mnie, a bardzo chętnie i szybko odpowiem?“

Na zakończenie życzę Pani dużo przyjemności i powodzenia w korespondencji, oraz zasyłam miłe pozdrowienia.

UWAGA! MIŁOŚNICZKI SZTUKI FOTOGRAFICZNEJ!

„Czarująca Ada“. Prośbie Pani uczyniłam zadość. Obecnie, oczekuję zapowiedzianego listu z fotografją. Część listu z pozdrowieniami zamieszczam:

Zasyłam pozdrowienia moim „Siostrzyczkom“ z „Krainy“, a zwłaszcza tym, które są miłośniczkami sztuki fotograficznej. Może, która z nich napisze do mnie?

Osobne pozdrowienia ślę: „Rozkosznej Dzidzi“ — „Miljonerce“ — p. Danucie Wyrybkowskiej, — „Marzycielskiemu Brunetowi“ — „Dumnemu Jeleniowi“ — „Te-Em“ — „Smutnemu Felowi“ i „Młodemu Urzędnikowi“.

W OCZEKIWANIU NA LISTY

„Piekiełko“ i „Żaruta“, jak wnioskuję z listu, to dwójka wisusów, pełnych beztroski i humoru.

„Przesyłamy całej „Rodzince“ — piszą — promienny, beztroski uśmiech, miłe pa! i całusów — 122. Jesteśmy sobie, ot takiemi dziewczątkami z wiecznym humorem i uśmiechem na ustach. Hołdujemy przysłowiu — „śmiech to zdrowie“! Ogromnie pragniemy nawiązać skimś korespondencje, w celu podzielenia się naszemi przygodami, oraz humorem. Czy ktoś do nas napisze? Czekamy!“

MOŻE NAPISZE PAN COŚ PROZĄ?

„Ro-Mi.“ Niestety, nadesłany wierszyk nie zrobił na mnie korzystnego wrażenia. Znacznie więcej podobał mi się list Pana, napisany lekko, dowcipnie i miło. Może Pan spróbuje napisać coś prozą — jakąś nowelkę lub humoreskę. Jeżeli będzie dobra, zamieścimy jak najchętniej.

OCZEKUJĘ JAKIEGOŚ ZNAKU

P. M. Wawrzyńczakówna z Witaszyc. Przesyłam Pani jak najserdeczniejsze pozdrowienia i oczekuję na danie o sobie jakiegoś znaku życia.

Teczka Wujka Janusza

WOŁYŃ

Wołyń —
to rozsiane wśród wiśniowych sadów
białe futory
i widniejące dokoła
sine, dalekie bory.
Wołyń —
to szmat ziemi
od Bugu do krętych fal Horynia,
gdzie się, jak w kalejdoskopie
krajobraz zmienia.
Wołyń —
to Turja, Stochód i Styr,
Słucz i Ikwa, —
to Łucka
wieża w starym zamku Lubarta;
każdego dnia z tej wieży
wystukuje północną godzinę
czuwająca nad miastem warta.
Wołyń —
w swej północnej i wschodniej połaci,
owo — tak zwane „przypolesie“,
dziwnie smętny czar
melancholji niesie.
Zachód i południe
słyną ze swego czarnoziemu,
co nam dorodne pszenice chowa.
Mówiąc o Wołyniu,
jak tu nie wspomnieć Krzemieńca,
tego pośród miast polskich
sławnego pamiątek wieńca.
Krzemieniec —
miasto rodzinne wieszcza narodu,
Juljusza Słowackiego. —
Krzemieniec —
złotemi zgłoskami zapisany
w naszej karcie historji,
dławiony długo przez Moskala
nareszcie
— razem z Wołyniem całym —
doczekał się swej glorji.

Józef Bojar.

NAPISZ DO MNIE ZNOWU, PRZYJACIELU

„Kaspieruś“. W wierszach Pana mieści się bardzo dużo szlachetnych myśli, jednakże najważniejsze — rytm, pozostawia dużo do życzenia. Rytm w wierszu to to samo, co w piosence melodja. Mogą być najpiękniejsze słowa, najwięcej kwieciste, jednakże gdy brak rytmu, nie utworzą wiersza. Musi Pan dużo czytać i studjować poetyckich utworów, zanim opanuję sztukę dobrej rytmiki.

Kończę już moją odpowiedź i wyrażam Panu swój podziw i uznanie dla przywiązania, jakie Pan żywi do swojej ziemi. Mocną i piękną posiada Pan duszę — oto, co wyczułem z listu Pana. Napisz do mnie znowu, Przyjacielu.

BEZSENNE NOCE

Kochanej „Dumce“ poświęcam.

Tęsknie zawodzi wiatr
I cicho łka po nocach,
Przebytych cierpień ślad
Wyraźniej drzy w pomroce.
Rozwiały się marzenia,
Jak szarych mgieł welony —
Zostały mi tylko wspomnienia
Chwil dawno już minionych.
Tak bardzo smutno sercu,
Co z uczuć je odarto,
W bolesnej poniewierce
Cichutko łka, rozdarte.

„Blanka“.

POMIMO, ŻE BYŁO TYLKO KILKA SŁÓW...

„Blanka“. Dziękuję bardzo za pocztówkę. Pomimo, że było na niej tylko kilka słów, wyczułem, że p. „Blanka“ jest bardzo zadowolona. Czekam na obszerniejszy list i pozdrawiam.

WIERSZYK WYSŁAŁEM LISTOWNIE

P. M. M. z Lipin. Wiersz Pana jest bardzo miły, ale ze względu na mało wyrobioną stronę techniczną, nie mogę go oddać do druku. Poleciłem go wysłać „Dumce“ listownie. Serdecznie pozdrawiam.

Raj kobiet



Proste i ładne

J 74 046 Sukienka przedpołudniowa z jasno-popielatej wełny. Kołnierzyk, mankiety i guziki z czerwonego jedwabiu.

J. 74 047. Młodociana sukienka z wełnianej krepy, z szerokim białym kołnierzykiem. Dół spódniczki drobno plisowany.

J. 74 048. Sukienka o fasonie poszczuplającym z ciemno — niebieskiej romain. Przybranie z szkockiej kraty.

Mężczyźni wolą blondynki

Nietylko na ekranach świata, ale i w życiu codziennem, nawet tu, u nas, w Polsce rozpowszechnione jest zdanie, że „mężczyźni wolą blondynki".

Część z pośród pań wierzyła i wierzy tym opowieściom, tleniąc sobie włosy, dążąc do całkowitego „zrobienia" się na blondynkę, aby łatwiej podbijać serce płci brzydkiej.

Posłuchajmy jednak, co o blondynkach mówi amerykański lekarz psychjatra, dr. Hollyday.

Ostatnio dr. Hollyday, stale praktykujący w wielkiej klinice psychjatrycznej w New Yorku wydał książkę, naukowo traktującą wpływ koloru włosów na charakter człowieka.

Na podstawie własnego długoletniego doświadczenia i prowadzonych przez klinikę psychjatryczną statystyk, dr. Hollyday stwierdza że wbrew dotychczasowym mniemaniom, blondynki są znacznie niebezpieczniejsze od brunetek.

Blondynki zdaniem autora — nie zasługują zupełnie na miano jasnowłosych aniołów, pozbawionych temperamentu zimnych i opanowanych.

Spośród zbadanych wypadków morderstw i samobójstw na tle miłosnym, popełnionych przez kobiety — zgórą 72 procent bohaterkami były blondynki.

Jak z tego wynika usposobienie blondynek jest bardziej nieopanowane, większość z nich cierpi na histerję, są wybuchowe, przytem metody działania ich są mniej wybredne.

Dr. Hollyday, kończąc swoje dzieło, dodaje znamienną uwagę: „Mężczyźni, strzeżcie się blondynek".

— Czy ma rację?

Sypialnie i kuchnie całem światem niemieckiej kobiety

Angielski „Daily Times" opublikował szereg artykułów pod tyt. „Hitler Commands", w których korespondent tego pisma opisuje w niezwykle interesujący sposób stosunki panujące w Niemczech, a przedewszystkiem rolę kobiet niemieckich.

Jak wiemy Hitler przeznaczył niemieckiej kobiecie bardzo ciasny krąg zainteresowań. Usunął je napowrót do sypialni i kuchni. Wzbrania się kobiecie niemieckiej uczęszczać na wyższe studja, natomiast każda z dziewcząt musi przebyć kilkumiesięczną praktykę gospodarską. Do tego celu służą specjalnie zorganizowane obozy dla dziewcząt.

W 1935 r. w obozach tych przebywało około 20.000 kobiet. Obecnie uczy się w nich już 50.000 — Liczba tą będzie stale wzrastać. Każda bowiem dziewczyna niemiecka, bez względu na to, czy jest córką dygnitarza czy też zwykłego robotnika, musi przejść ów kurs gospodarski.

Oto co pisze o tych kursach wspomniany korespondent „Daily Times".

„W państwie niemieckiem jest ogółem 350 obozów dla dziewcząt. Praca ich trwa od godz. 8 rano do 2 po południu, zatrudnione są one u rolników, którzy nie mogą utrzymać płatnej służby. Jako zapłatę dostają 8 i pół centa dziennie. Pracują w polu, w stajniach, oborach, w kuchni itd.

Co do rodzaju pracy, to ostatecznie zgodzićby się można na ten system, gdyż praca nikogo nie hańbi. Wprawdzie rodzice dzieci, pochodzących z klas wyższych nie bardzo są tem zachwyceni, gdy córka ich musi wypełniać rozkazy wieśniaka, muszą się jednak zgodzić z tem, gdyż jakikolwiek protest uważany jest za zdradę kaju. Lecz, co gorsza, że muszą głęboko taić oburzenie na fakt, że córki ich wyłączone są z pod opieki rodzicielskiej i poza godzinami pracy, a poddane są takiemu rodzajowi wychowania, jaki sprzeciwia się wszelkim zasadom moralności. Oto młodzież musi słuchać obowiązkowo programów radjowych, głównym tematem których jest: płodność kobiet. Natomiast filozof Alfred Rosenberg, głosi publicznie, że: „cudzołóstwo, rezultatem którego jest dziecko, nie jest wcale przestępstwem", że „kobiety wykształcone zapominają o prawach natury, stają się bezpłciowe, a przez to bez wartości dla kraju".

Niewytłumaczonem wprost jest aroganckie odnoszenie się kierowniczek obozu dziewcząt do panienek, posiadających wyższe wykształcenie. Kierowniczka taka, zwykle osoba bardzo mało inteligentna — prześladuje niemal na każdym kroku absolwentki wyższych szkół, wyznacza je zwykle do najcięższych prac, nazywając je z przekąsem: maturzystkami. Łatwo więc można sobie wyobrazić co czują rodzice — lecz niestety na nic reagować nie mogą, jeżeli nie chcą się narazić na ostre prześladowanie, a nawet kary".

RADY PRAKTYCZNE

Aluminiowe naczynia czyści się wewnątrz i po wierzchu najlepiej gliną. Po wymyciu w czystej wodzie dla nadania połysku natrzeć rondel po wierzchu kredą rozrobioną z wodą, a gdy zaschnie, wyczyścić kawałkiem flaneli, lub skórką irchową.

Niklowe naczynia czyszczą się tak samo jak aluminiowe, można je również myć tylko wodą z mydłem, ale w żadnym razie nie używać sody, która szkodliwie działa szczególniej na naczynia aluminiowe. Czyszcząc naczynia niklowe, należy wystrzegać się zbyt silnego tarcia, bo wiele naczyń bywa tylko po wierzchu niklowanych, więc powłoka łatwo się ściera. Przy kupowaniu naczyń niklowych, trzeba zwracać baczną uwagę, czy naczynia są z czystego niklu, czy też tylko niklowane.

Blaszane naczynia doskonale czyszczą się proszkiem z niegaszonego wapna, lub suszonym skrzypem, (ostre ziele rosnące w mokrych miejscach) zmaczanym w wodzie. Skrzyp można dostać w sklepikach lub samemu zbierać i suszyć.

Poczerniałe i zbrudzone naczynie blaszane można przywrócić do pierwotnego stanu następującym sposobem:

Czysty, dobrze dopalony popiół miesza się ze zwykłym olejem konopnym, tak, aby otrzymać dość gęstą papkę i pokryć nią całe naczynie, pozostawiając je w spokoju przez parę godzin. Następnie wycierać je płóciennym płatkiem, a w końcu wełnianym. W ten sposób oczyszczone naczynie z blachy, odzyska dawny połysk i świeżość. Nawet stare, odymione naczynie można dokładnie oczyścić podanym sposobem.

Oczyszczanie zaśniedziałego srebra. Srebro pokryte śniedzią włożyć do sita z cynkowej blachy i zanurzać we wrzącym roztworze boraksu, albo w gorącym ługu potażowym. Srebro odzyska pierwotną swą barwę i połysk.

Cynkowe naczynia najlepiej myć wodą z sodą, a od czasu do czasu wytrzeć dobrze solą lub kawałkiem sukna i amoniakiem. Na wsi można je czyścić również drzewnym popiołem.

Drewniane naczynia i sprzęty kuchenne od częstego mycia sodą ciemnieją. Najlepiej je myć ługiem z drzewnego popiołu lub tylko

piaskiem i mydłem, a drzewo pozostanie zawsze jasne i żółte. Tłuste plamy puszczają od gliny, należy tedy nasmarować stół lub inne przedmioty rzadko rozrobioną gliną i pozostawić tak przez parę godzin, a potem zmyć szczotką ciepłą wodą; drzewo będzie białe, a plamy znikną bez śladu.

Ze świata

Żona surowsza niż sąd

Prasa amerykańska donosi o procesie 69 żon przeciw 69 mężom, który rozegrał się przed sądem karnym w Chicago. Wszystkie żony oskarżyły swoich mężów o opilstwo i brutalne obchodzenie się z niemi w stanie nietrzeźwym.

Sędzia Robert Dunne, skorzystał z wielkiej swobody sumienia sędziowskiego. Pragnąc zaoszczędzić sobie powtarzania tej samej procedury w 69 rozprawach, wydał samowolny wyrok, aby każda żona sama zdecydowała o sposobie ukarania męża.

I oto 68 żon ułaskawiło swoich mężów odrazu po otrzymaniu przyrzeczenia poprawy, 69-ta żona oświadczyła, że mąż jej jest nieuleczalnym recydywistą i tylko surowa kara może go poprawić. Oskarżony zaprotestował przeciw tym słowom, powołując się na świadków, że od września r. ub. tylko jeden raz w czasie świąt był pijany.

— Dziesięć dni aresztu? — zaproponował sędzia żonie.

— Sześćdziesiąt — odrzekła żona z zimną krwią.

— Zgadzam się — oświadczył sędzia i skazał 69 męża na 60 dni więzienia, ściśle jak sobie tego życzyła małżonka oskarżonego.

Jak walczą w Stanie Texas z pijakami

Pijaństwo w Stanie Texas w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, przybrało takie rozmiary, że rząd federalny musiał spowodować uchwalenia ustawy, obostrzającej sprzedaż alkoholu notorycznym pijakom. Ustawa przewidziała tatuowanie palców tych pijaków, tak, że właściciele restauracyj i barów mogą poznać gościa, któremu nie wolno sprzedać alkoholu. Lecz i na to sobie poradzili wielbiciele kieliszka. Chodzili w rękawiczkach. Właściciele nie mogli nikogo zmuszać do zdjęcia rękawiczek. Podobnie, jak u nas za czasów „lex Moczydłowska" piło się w niedzielę i w soboty najwięcej, tak i w Texas ustawa pozostała na... papierze.

Najciekawsze audycje Polskiego Radja w Warszawie

Niedziela, dnia 3 maja 1936 r.

9.00 Audycja poranna 9,15 Koncert Orkiestry Dętej 21 pp. Transm. z Pl. Marszałka Piłsudskiego 10.00 „1000 taktów muzyki" 10.30 Transmisja nabożeństwa polowego z okazji 15-tej rocznicy wybuchu III powstania Śląskiego 12.03 Przegląd teatralny 12.15 Poranek muzyczny W przerwie około godz. 13,00 fragment słuchowiskowy pt. „Osy Arystofanes". 14.00 „Śmierć pana Zagłoby" — nowela 14.20 Płyty 15.00 Godzina rolnika 16.00 „Chwilka pytań" dla dzieci 16.15 „Serenady" — w wykonaniu Kwartetu Instrumentalnego 16.45 „Śpiące wojsko" — słuchowisko 17.10 Muzyka taneczna 17.50 Pogadanka aktualna 18.00 Recital śpiewaczy Jadwigi Hennertowej 18.30 Premjera słuchowiska historycznego pt. „Trzeci Maj". 19.40 Wiadomości sportowe lokalne 19.45 „Co czytać?" 20.00 Koncert w wykonaniu Orkiestry Marynarki Wojennej 20.45 Wyjątki z pism Józefa Piłsudskiego 20.50 Dziennik wieczorny 21.00 „Na wesołej lwowskiej fali" 21.30 „Podróżujmy" — „W polskiej Szwajcarji" — feljeton 21.45 Wiadomości sportowe ze wszystkich rozgłośni P. R. 22.00 Muzyka taneczna z udziałem „Trójki radjowej".

Poniedziałek, dnia 4 maja 1936 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Dziennik południowy 12.15 „Jak lepiej" — pogadanka, wygłosi gospodarz małorolny 12.25 Koncert południowy w wykonaniu Małej Orkiestry P.R. 15.30 Muzyka baletowa 16.00 Lekcja języka niemieckiego 16.15 Utwory na viola da gamba" 16.45 „Pan Pieksiek przed sądem" — fragment z powieści w oprac. radjofon. 17.00 „U dziewcząt niewidomych" — pogadanka 17.15 „Minuta poezji" 17.50 Duety i piosenki 17.50 O działalności naukowej prof. „Pawlowa" 18.00 Recital fortepianowy Olgi Iliwickiej 18.30 „Lisy do dzieci" 18.55 Pogadanka aktualna 19.35 Wiadomości sportowe 19.45 Pogadanka aktualna 20.00 Audycja żołnierska 20.30 Utwory charakterystyczne w wyk. zespołu mandolinistów 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 „Obrazki z Polski współczesnej" 21.00 „Pół godzinki z Wiednia" 21.30 Wieczór literacki: Dyskusja improwizowana, odbyta w radjo angielskiem pt. „Kto ma wychować nasze dzieci?" Rozmówcy: Gilbert Keith, Chesterton i Bertrand Russell. 22.00 Koncert symfoniczny 23.05 Muzyka taneczna.

Wtorek, dnia 5 maja 1936 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Dziennik południowy 12.15 Audycja dla szkół „Śpiewajmy piosenki" 12.35 Fragmenty symfoniczne 13.15 „Z rynku pracy" 15.30 Koncert w wykonaniu orkiestry kameralnej 16.00 Skrzynka PKO. 16.15 Współcześni pianiści 16.45 „Cała Polska śpiewa" 17.00 „Skarby Polski" — „Eksport polski" 17.15 Koncert kameralny 17.50 „Skrzynka językowa" — prof. Witold Doroszowski 18.00 „Same rumby" — muzyczna audycja 18.30 „W domu rodzinnym Sienkiewicza" (w 90-tą rocznicę urodzin pisarza) — reportaż literacki 19.25 „Skrzynka rolnicza" 19.35 Wiadomości sportowe 19.45 Pogadanka aktualna 20.00 „Poeta Cocteau opowiada" — feljeton 20.10 Koncert symfoniczny z Poznania W przerwie około godz. 21.00: Dziennik wieczorny oraz „Obrazki z Polski współczesnej" 22.30 Muzyka z płyt 22.45 „Wschodnie kresy Polski" — odczyt w języku francuskim 23.05 Muzyka taneczna

Środa, dnia 6 maja 1936 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Dziennik południowy 12.15 „Kaktusy gruboszowate w naszych mieszkaniach" — pogadanka 12.30 Koncert w wykonaniu Orkiestry Tadeusza Seredyńskiego 15.30 Płyty 16.00 „Zagadki muzyczne" dla dzieci starszych 16.20 Koncert 16.45 Rozmowy muzyka ze słuchaczem radja 17.00 „Dyskutujmy": „Słowa nieprzyzwoite w literaturze" 17.20 Ryszard Strauss: Sonata wiolonczelowa F-dur op. 8. 17.50 „Zygmund Freud" (w 80-tą rocznicę urodzin) — odczyt 18.05 Arje operowe odśpiewa Tadeusz Łuczaj 18.30 Skrzynka ogólna 19.25 „Mniej chwastów — większe i lepsze plony" — pogadanka 19.35 Wiadomości sportowe 19.45 Pogadanka aktualna 20.00 „Po jednej piosence" 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 „Obrazki z Polski współczesnej" 21.00 35 (ostatnia) audycja z cyklu „Twórczość Fryderyka Chopina" 21.40 „Arka przymierza" — wiersze patrjotyczne 21.55 Pogadanka aktualna 22.05 Piosenki w wykonaniu Anieli Szlemińskiej 22.35 Muzyka taneczna w wykonaniu Małej Orkiestry P. R. 23.30 Pogawędka w języku angielskim.

Czwartek, dnia 7 maja 1936 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Dziennik południowy 12.15 „Rodzina instrumentów" — Poranek szkolny dla młodz. szkół średn. 15.30 Muzyka z płyt 16.00 Przegląd wydawnictw dla dzieci i młodzieży 16.15 Koncert orkiestry wojskowej 19 p.p. Leg. 16.45 „Cała Polska śpiewa" 17.00 „Samorząd terytorjalny, jego istota i znaczenie" — Odczyt A. Rączaszka 17.15 Koncert w wyk. Ork. Kameralnej pod dyr. Adama Hermana 18.00 Pogadanka aktualna 18.10 Recital fortepianowy Edwarda Steinbergera — ze Lwowa 18.30 „Film, plastyka, architektura" 18.40 Jak spędzić święto? 19.25 „Zacietki wrogowie zwierzyny" — pogadanka 19.35 Wiadomości sportowe 19.45 Pogadanka aktualna 20.00 Chór Dana i Mała Orkiestra P.R. pod dyr. Zdzisława Górzyńskiego 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 „Obrona przeciwlotniczo-gazowa" — pogadanka 21.00 Premjera słuchowiska oryginalnego pt. „Ostatni powrót" 21.35 „Nasze pieśni" 22.00 Koncert muzyki ukraińskiej 23.05 Muzyka taneczna.

Piątek, dnia 8 maja 1936 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Dziennik południowy 12.15 Audycja dla szkół — słuchowisko pt. „Kaczorek-Kwaczorek" 12.45 Koncert południowy w wykonaniu zespołu salonowego Pawła Rynasa 15.30 Koncert w wykonaniu Orkiestry Tadeusza Seredyńskiego 16.00 Pogadanka dla chorych 16.15 Niesamowite nastroje 16.45 „Załoga" — opowiadanie dla dzieci starszych 17.00 „Skarby Polski" — „O kolejnictwie" — odczyt 17.15 „Minuta poezji" 17.20 Paul Juon: Kwintet op. 84, na flet, obój, klarnet, róg i fagot 17.50 Poradnik sportowy 18.00 Koncert Chóru Eryana 18.30 Pogadanka aktualna 18.50 Pogadanka społeczna 19.25 „Skrzynka rolnicza" 19.35 Wiadomości sportowe 19.45 Komunikat śniegowy z Krakowa 19.50 Biuro Studjów rozmawia ze słuchaczami P.R. 20.00 Koncert symfoniczny. Transmisja z Filharmonji Warszawskiej. Wykonawcy: Orkiestra Filharmoniczna pod dyr. Clemensa Krauss'a i Fryderyka Ursuleac. 22.30 „Skrzynka techniczna" 22.50 Muzyka taneczna z dancingu „Cafe lub".

Sobota, dnia 9 maja 1936 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Dziennik południowy 12.15 „Łąki się zielenią" — pogadanka gospodarza małorolnego 12.25 „Kiedy kwitną fijołki" — koncert w wyk. Małej Orkiestry P.R. 15.00 „Matka Chinka" — obrazek obyczajowy 15.30 Koncert w wykonaniu Kwartetu Salonowego Rozgłośni Krakowskiej 16.00 Lekcja języka francuskiego 16.15 Bajka dla dzieci pt. „Trzy małe świnki" w oprac. i reżyserji Marjana Hemara 16.45 Cała Polska śpiewa 17.00 Transmisja Nabożeństwa Majowego z Kościoła NMP. w Wielkich Piekarach 17.50 „Mówimy o prowincji" „Jak rozpocząć pracę kulturalną" 18.00 Koncert solistów 18.40 „Przegląd wydawnictw" 19.35 Wiadomości sportowe 19.45 Pogadanka aktualna 20.00 Mozajka muzyczna 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 „Obrazki z Polski współczesnej" 21.00 Audycja dla Polaków zagranicą: „Wilno — miłe miasto" 21.00 „Wesoła Syrena" — w opracowaniu Marjana Hemara 22.00 Koncert symfoniczny 23.05 Muzyka taneczna w wykonaniu Małej Orkiestry P. R.

Wesoła historyjka

Pociąg ligowski nigdy szybko nie jedzie. Albo linja nie pozwala, albo semaforów zbyt dużo stoi — poza normą — nie wiem. Jazda pociągu jest ogromnie powolna. Wprost obrażająca dla jadącego.

Oczywiście w podróży takiej bywa straszliwie nudno. Powiedzmy sobie wprost — niema co do roboty.

Patrzeć na publiczność, — to zbyt mało ciekawe. Jeszcze się obrażą. „Co się człowieku patrzysz? — powiedzą. — Nie poznajesz mnie?"

Zajmować się swemi sprawami, także niemożliwe. Czytać, naprzykład, nie można. Lampki są nadzwyczaj brudne. I nadzwyczaj wysoko przymocowane. Wprost niby jakieś węgliki świecą u góry, a radości niema żadnej.

Właściwie o lampce zbytecznie mówię. Ta wesoła historyjka zdarzyła się za dnia. Ale wszak i za dnia trzeba niekiedy jechać.

Oto niedawno w sobotę jechała w wagonie dla nie palących Feklusza. Fekla Timofejewna Razuwajewa. Jechała po towary z Ligowa do Leningradu. Sprzedaje w Ligowie jabłka i nasiona na dworcu.

Tak więc ta Feklusza jechała ładnie na Szukin. Na Szukin targ. Chciała tam zakupić sobie skrzynię marnych jabłek antonowek.

Usiadła w Ligowie przy okienku i jechała. Jedzie i jedzie. Naprzeciw niej jedzie Fiedorow Nikita. Obok oczywiście Anna Iwanowna Bljudecznikowa, urzędniczka ubezpieczalni społecznej. Wszyscy z Ligowa. Do pracy jadą.

Za Ligowem jeszcze nowy pasażer wsiada. Dotąd był na platformie. I siada skośno naprzeciw Fekli Timofejewny Razuwajewy. Usiądzie skośno i jedzie.

Fekla Timofejewna, chociaż już długo żyje i zdrowa, rozwiązała sobie chustkę i, rozwiązawszy, poczęła myśleć o sprawach handlowych, mianowicie, ile skrzyń jabłek zakupić itd.

Potem popatrzy w okno. Patrzy. Potem, z nudów oczywiście, zdrzemnęła się. Nie wiem czy ciepło w wagonie, czy nudny obraz przyrody, czy co tak na nią podziałało, że Fekla poczęła ziewać.

Ziewnęła po raz pierwszy — nic. Po raz drugi ziewnęła na całe koło. Wszystkie zęby było można policzyć. Po raz trzeci ziewnęła jeszcze bardziej. Pasażer, który siedział skośno naprzeciw niej, najzupełniej dobrodusznie włożył jej palec w usta. No, często się zdarza — ktoś ziewnie, a ktoś palcem w usta. To oczywiście zdarza się, powiedzmy, między dobrymi przyjaciółmi, znajomymi od dawna lub między krewnymi ze strony żony. Ale ten był zupełnie nieznajomy. Fekla Timofejewna widzi go po raz pierwszy.

Dlatego Fekla Timofejewna oczywiście przelękła się. Z przelęknienia oczywiście szybko zamknęła swoją jadaczkę. I dosyć mocno zębami uderzyła w palec pasażera.

On strasznie zawył. Począł krzyczeć i wyrażać się. Pono niemal zupełnie uciął mu palec. Byłby rozpoczął bójkę, ale pasażerzy go zatrzymali. Tembardziej, że palca mu wcale nie odcięła, ale tylko troszeczkę zgniotła w zębach. Krwi także dużo nie było. Zaledwie pół szklanki.

Rozpoczęła się łagodna kłótnia. Pasażer mówi:

— Ja — mówi, no, poprostu zażartowałem. Gdybym — mówi, wam język wyrwał lub coś podobnego, to możecie mnie ukąsić; ale tak, — mówi — nie zgadzam się. Ja — mówi — jestem pracownikiem państwowym i nie mogę pozwolić, aby mi odgryzali palce.

Fekla Timofejewna mówi:

— Oj! Gdybyś mnie wziął za język, całą pięść bym ci odgryzła. Nie lubię, gdy mnie ktoś za język bierze.

Tu Fekla Timofejewna poczęła pluć na podłogę, — pono, może, palec, kto wie jak był brudny, i djabli wiedzą co brał w rękę — takich rzeczy przecież robić nie można — to jest niehygieniczne...

Tu jednak ich dyskusja została przerwana — przyjechaliśmy do Leningradu.

Fekla Timofejewna jeszcze lekko pokłóciła się z żartującym pasażerem i odeszła na Szukin. *Michał Zoszczenko.*

Wśród warjatów

czyli

Upiór zamku Sokolskich

(Romans) 86)

że cię jeszcze nie zaprowadzili do męczeńskiego pala zawdzięczasz to tylko jednej okoliczności, która jednak tysiąc razy niebezpieczniejszą ci być może, jak pal męczarni. Czyś nie spostrzegła z jakim wyrazem namiętności spoczywały na tobie oczy czerwonego wodza? — Nie, — nie mogłaś tego widzieć, boś leżała bez zmysłów na ziemi. Za to ja, — ja widziałem ten dziki, rozpasany błysk oczu Mahito i zrozumiałem natychmiast, co on oznaczał."

Anielcia skrzyżowała w rozpaczy ręce na piersi, dwie wielkie łzy zabłysły na rzęsach i spłynęły zwolna po jej twarzy.

Czyż była skazaną na to, rozpalać w piersiach mężczyzn miłość, która tak niebezpieczną, tak straszną mogła być dla niej?

Nawet to dzikie serce zapłonęło miłością na widok jej wdzięków! Ale co dla innej byłoby pożądania godnem, dla niej było zgubą! O, ona musiała uciekać coprędzej, — wydobyć się z pod władzy czerwonoskórych.

„Lepiej, że dowiesz się całej prawdy", ciągnął Istwan dalej pocichu, „Mahito ma zamiar jeszcze tej nocy zaprowadzić cię do swego wigwamu. Co to znaczy, wiesz zapewne! W wigwamie staniesz się jego żoną, towarzyszką czerwonoskórca! O Anielciu, to byłby straszny los! Pominąwszy już to, że do tego dzikiego czułabyś tylko wstręt i odrazę, ale żona Indjanina, wiesz, co to za los, — to los bydlęcy; każda żona dzikiego to bydle, które on bije, plwa, kiedy mu fantazja przyjdzie, które musi pracować na niego w pocie czoła i do którego uśmiecha się tylko wtedy, kiedy chce dogodzić swoim namiętnościom."

„O umilknij, Istwan, zamilknij!" zawołało lube dziewczę, płoniąc się na twarzy; „zanim podam rękę takiemu losowi prędzej umrę! Miej litość, Istwan, i wpakuj mi nóż do serca, albo daj mi trucizny, którą ty jako medyk umiesz przecie sporządzić!"

„Na nóż lub truciznę będziemy mieli jeszcze dosyć czasu!" odpowiedział Istwan ze smutkiem, „najprzód musimy spróbować, czy nam się nie uda uciec. Ja także już mam dosyć tego życia u Indjan, — już dawno postanowiłem uciec. Dotychczas jednak brakowało mi sposobności do ucieczki. Dzisiaj przyszedłem do przekonania, że nie mogę zostać dłużej u Apachów. — Słuchaj więc, Anielciu: Nie opieraj się niczemu, co zechcą z tobą zrobić. Powiedz na wszystko tak „tak". — Zgódź się ze wszystkiem, powiedz, że chętnie pójdziesz do wigwamu Mahito, — udawaj nawet, żeś w nim zakochana, — musisz odegrać tą komedję, choć ci to ciężko przyjdzie! Tylko w ten sposób możemy dojść do celu."

„Jeżeli jednak rzeczywiście będę zmuszoną pójść z nim do jego wigwamu?" spytała Anielcia z drżeniem.

„Wówczas nie będziesz miała nic innego do roboty jak tylko to, że podasz mu przygotowany napój. Jak tylko skutki jego poczną się okazywać, przybędę do ciebie i wtedy uciekniemy wspólnie."

„O Boże, to będzie połączone z kosztem życia ludzkiego!" odpowiedziała Anielcia ze zgrozą.

„Gdzie się rozchodzi o twoje dobro i ocalenie, moja towarzyszko syberyjskiej puszczy, nie mogę uważać na kogoś innego i mieć względy co do wodza Mahito."

„Ale dokąd się zwrócimy, jeśli się nam uda ujść czujności Indjan?" pytała Anielcia z trwogą, „znajdujemy się przecież w niedostępnym dziewiczym lesie!"

„Może uda nam się dotrzeć do Santa-Fee", odparł medyk, „nie jesteśmy dalej jak o kilka dni od tego miasta. W każdym razie lepiej, że na los szczęścia zagłębimy się w te gęstwiny, niż żebyśmy mieli tutaj dłużej zostać. Ty nie możesz ani godziny dłużej tu przebywać.

„A teraz do dzieła", dodał Istwan po małej pauzie, głaskając jedną ręką, która mu została, włosy z troskliwością jak starszy brat swojej siostrze, kiedy ją chce zachęcić do czegoś, dodać odwagi, „nie płacz, Anielciu, i nie opuszczaj głowy! Bóg łaskawy już i tak uczynił prawdziwy cud, dodając ci do boku tu w środku tych czerwonych djabłów wiernego przyjaciela, na którego możesz się spuścić i zaufać mu zupełnie. Czyż to nie widoczny znak, że chce cię uratować z niebezpieczeństwa, jakie ci grozi, wyrwać z rąk nieprzyjaciół?"

„Prawda, to oczywisty znak boski!" zawołała Anielcia ze wzruszeniem, „to napełnia mnie nadzieją."

„Widzisz, — tak dobrze, a więc zapamiętaj sobie jeszcze raz dokładnie wszystko, com ci powiedział: udawaj miłość dla Mahito i nie dziw się niczemu, co zobaczysz albo usłyszysz wkrótce."

Jak tylko medyk wypowiedział te słowa, począł śpiewać na całe gardło jakąś dziką melodję, przyczem tańczył w namiocie, jakby zwarjowany. Coraz więcej dzikimi stawały się jego ruchy, wkońcu począł ze wszystkich por ciała wychodzić mu pot obficie.

Nagle podniósł niedźwiedzią skórę i pospiesznie wybiegł z namiotu. — Potrzebował tylko paru skoków, aby dotrzeć do wodza Apachów. Tenże stał ze skrzyżowanemi rękami na piersiach, — pomimo, że gorzał ciekawością nie uczynił ani jednego pytania, nie wypowiedział ani słowa do medyka. Ciekawość bowiem to jedna z najwięcej pogardzanych przywar u Indjan. Mahito pozwoliłby sobie pierwej obciąć język zanim by się zdobył na pytanie, czy powiodła się medykowi jego procedura, wlać w Anielcię miłość ku niemu.

„Możesz być zadowolonym ze mnie, o wielki wodzu", zaszeptał tajemniczo medyk do ucha młodego Indjanina, „z pomocą Wielkiego Ducha udało mi się zapalić w sercu białej dziewczyny miłość ku tobie."

Mahito rzucił jak źrebak głowę do góry. Pełen wdzięczności wzrok skierował na upośledzoną postać medyka, stojącego przed nim.



Wiosna jest okresem mozolnej pracy w ogrodach. Słodzi ją jednak wiadomość, że plony wynagrodzą nam stokrotnie poniesione trudy. I dlatego podejmujemy pracę z uśmiechem, jakim promieniеje twarz wieśniaczki, wyruszającej w pole z grabiami.

„Czyś pewien tego, co mówisz, Akolpu", spytał po pauzie, „zakwitnie ten kwiat w moim wigwamie? Otworzy swój kielich? Pozwoli mi się napoić swym zapachem?"

„Ona do ciebie należy!" odpowiedział Istwan, przekrzywiając swoją pomalowaną twarz wstrętnym grymasem, „ona upadnie ci w ramiona, bo inaczej nie może!"

„Mogę zaraz uczynić próbę?"

„Nic ci nie staje na przeszkodzie, wielki wodzu! Tylko chciałbym cię poprosić, abyś twój szlachetny ogień trzymał nieco na wodzy aż do tego czasu, kiedy przetniesz w twoim wigwamie nakrycie na piersi dla białej dziewczyny. Ach, ja ci powiadam, jeszcze nigdy nie zdobiła namiotu czerwonego męża piękniejsza squaw, jak ta biała dziewczyna."

„Jeszcze nigdy medyk nie nosił piękniejszych rogów na głowie", odpowiedział Mahito, „jak te, o jakie ja ci się postaram."

Mahito pokroczył majestatycznie i przeszedł koło medyka, kierując swe kroki do namiotu. W minutę później zniknął za niedźwiedzią skórą, za którą znajdowała się Anielcia.

W milczeniu przystanął wódz tuż u wejścia do namiotu zaraz za skórą zakrywającą wejście. Zdawało się, że nie odważa się przemówić do Anielci. Za to oczy jego wypowiadały tem wyraźniej, co się w nim działo. — Z przerażeniem spostrzegła Anielcia w nich dziką namiętność, miłość, jaka się zebrała w tej dumnej piersi Indjana.

Straszna trwoga owładnęła nią, widziała, że teraz nie zdoła się uratować, że sama jedna z nim w namiocie, że nie potrafi uciec. Zaraz jednak przypomniała sobie na przestrogi Istwana, aby

udawała miłość względem młodego Apacha.

Była zdecydowana na to uczynić wszystko, co tylko jej poradził jej obrońca i przyjaciel, jakkolwiek przychodziło jej to z ogromnym trudem, bo nie umiała nigdy grać komedji.

Jednak teraz rozchodziło się o życie, w tak stanowczej chwili zlatuje talent i spryt odpowiedni, potrzebny do dzieła.

Nawet Anielcia, która nie znała kłamstwa, potrafiła w tej chwili niebezpieczeństwa odgrywać dobrze swoją rolę.

„Biały kwiecie", zawołał Mahito, zbliżając się do Anielci, „Mahito, wódz Apachów przychodzi ci powiedzieć, że nie potrzebujesz się niczego obawiać jak długo znajdujesz się w jego obozie. On będzie strzegł ciebie. Ale, aby to mógł łatwiej uczynić, zaprowadzi cię dzisiaj w nocy do swego wigwamu. Powiedz, biały kwiecie, chcesz zostać moją squaw?"

„Biały kwiat zna tylko Boga miłości", odpowiedziała Anielcia, „zostanie tego żoną, kto będzie jej mężem, kto się jej odda zupełnie."

„Biały kwiat niech będzie spokojny! Mahito tylko do niej będzie należał, — on wygoni wszystkie inne kobiety ze swego namiotu, — biały kwiat będzie mógł w nim mieszkać i rządzić się jak się jej spodoba."

To wszystko mówił Indjanin łamanym angielskim językiem, którego zwykł był używać w rozmowach z białymi.

Anielcia mimowoli uczuła litość względem przystojnego, młodego Indjanina, była sama na siebie złą, że musiała grać wobec niego taką fałszywą rolę, oczy Mahito spoczywały z taką wiernością na niej i wpatrywały się tak poczciwie w nią, wszystko co opowiadał tyło naznachowane piętnem takiej prawdy i szczerości, że żal ją rozbierał; — na szczęście przypomniała sobie, co jej opowiadał Istwan o charakterze tych czerwonoskórych, że Indjanie uważają żonę swoją za bydlę, opiwszy się do woli jej wdziękami kopią ją jak zwierzę i plwają na nią...

Wprawdzie, młody, ślicznie zbudowany mężczyzna, z rozłożystą piersią i kształtnemi mięśniami spodobałby się niejednej białej, zwłaszcza, jakby oczy te wielkie zajarzyły się takim głębokim ogniem, jaki buchał z nich w obecnej chwili, — Anielcia jednak prócz litości czuła tylko wstręt do dumnego, pięknego wodza Apachów.

Ba, nawet najpiękniejszy biały mąż, choćby postawa jego równała się wdziękom Apollina, nie wywarłaby na niej najmniejszego wrażenia; jej serce należało tylko do Kazimierza, do tego jedynego gorąco ukochanego!

„Biały kwiat niech pójdzie ze mną", odezwał się Mahito, którego twarz zdradzała niecierpliwość, „zaraz rozpocznie się uroczystość związku! Mąż naukmedycznych czeka już na nas! Wielki Duch rozświecił już lampę, która nam będzie przyświecać. To znak czegoś dobrego, — to oznacza płodność!"

Mahito, wypowiedziawszy te słowa, porwał Anielcię za rękę i uścisnął jej delikatną rączkę tak silnie, że biedna dziewczyna musiała się wszelkiemi siłami wstrzymywać, aby nie zakrzyknąć z bólu. Ale wiedziała dobrze o tem, że to by ją zrobiło w oczach Indjanina godną wzgardy, więc zagryzła tylko wargi i poszła z udaną ochotą z wodzem Apachów.

Medyk uwiadomił tymczasem innych dzikich, że Mahito zdecydował się, białą dziewczynę wziąć do swego wigwamu. Najstarsi rodu zgromadzili się natychmiast, by wziąć udział w ceremonji weselnej.

Była ona bardzo krótką, — polegała na tem, że Mahito pod starym dębem zaciął sobie zlekka ramię i z sączącej krwi dał nieco Anielci do picia.

Dużo przezwyciężenia kosztowało Anielcię, by kilka kropli krwi wziąć do ust. Ale pod wpływem wzroku Istwana uczyniła i to.

Następnie musiała Anielcia klęknąć przed Indjaninem, który położył jej stopę na kark, na znak, że dziewczyna przechodzi w jego posiadanie.

Tymczasem medyk rozniecił ogień, do którego zaczął rzucać wszelkiego rodzaju wonlejące zioła. Wypowiadał mruczącym głosem słowa jakiejś dla Anielci niezrozumiałej, modlitwy, czy zaklęcia, — wkońcu jął wykonywać taneczne ruchy i to tak długo, aż całkiem z sił wyczerpany, upadł na ziemię.

Na tem był koniec ceremonji i Mahito miał prawo teraz, biały kwiat zaprowadzić do swego wigwamu.

Ażeby podnieść jeszcze uroczystość, zmienił swój pierwotny plan i nie udał się tej samej nocy do jaskini, która stanowiła jego domostwo, lecz pozostał na miejscu, wydawszy jeszcze rozkaz, by przyniesiono ogromną beczkę wódki, dla uraczenia nią swoich wojowników. Wnet też wszczął się dziki ruch i szalona wesołość w lesie.

Młodzi Indjanie objawiali uciechę w sposób im właściwy.

Gonili się wzajemnie, — szli w zapasy z sobą — rzucali lancami do celu w zawody lub też potykali się bronią.

Przytem nie zapominali o wódce, a medyk był tym, który ich ciągle do picia zachęcał, — nie dawali się prosić, — kładli się poprostu na ziemię pod beczkę, dając sobie lać w gardziel z otworu czopowego spływający, odurzający napój.

Następstwem tego naturalnie był ogólny szał. — Długo panował dziki hałas — wkońcu jednak wódka pokolei zmogła ich, popodcinała siłę w nogach, a wkońcu całkiem ubezwładniła, — sen roztoczył swe skrzydła nad nimi.

Mahito tymczasem zaprowadził swój biały kwiat do namiotu, w którym pierwsza rozmowa miała miejsce.

Tu było łoże weselne przygotowane, składające się z kilku skór niedźwiedzich.

Na małej ławce drewnianej, która zastępowała miejsca stołu, stało rzeźbione z drzewa, indyańskie naczynie, napełnione płynem, które zdawało się być mieszaniną miodu i mleka.

„Nie pij z kubka, tylko daj Indyanimowi do picia!"

To były ostatnie słowa, które Istwan szepnął Anielci przy rozstaniu się przed namiotem. Sam wrócił co prędzej do beczki z wódką, — gdyż pozostało tam jeszcze kilku dzikich jako tako przytomnych, — tych dalej zachęcał do picia, — natężać się nie potrzebował, bo za wódkę da się każdy Indjanin zabić.

Dwie rzeczy otrzymali dzicy w podarku od białych, — i to rzeczy, które niezawodną ruinę przynoszę: złoto i wódkę.

A gdy już wszyscy niemal legli a nawet straż, oparta o lance w półśnie drzemała, siedział medyk przy wypróżnionej beczce i nucił pieśń monotonną, która zdolna była nawet trzeźwego w sen wprawić.

Straszna to była teraz godzina dla Anielci. Niebezpieczeństwo jej grożące było tak bliskie, że zaczynała już wątpić w uczciwe zamiary Istwana, bo trudnoż jej było pomyśleć, żeby przyjaciel jej na takie niebezpieczeństwo narażał.

Z powagą, jaką Indjanie przy każdej nadarzającej się sposobności, jak szatę na siebie przywdziewają, wprowadził Mahito Anielcię do namiotu. Gdy weszli do niego, usiadł sam na niedźwiedzią skórę i przyciągnął Anielcię do siebie.



Stadjon piłki nożnej w Londynie. Olbrzymie trybuny, które widać na zdjęciu, pomieścić mogą tysiączne rzesze.

„Teraz jesteś moim, biały kwiecie“, zawołał drżącym od namiętności głosem, „teraz należysz do mnie! Pójdź ukochany mój kwiatuszku, — niech się zapachem twoim i pięknością nasycę.“

Nadarmo usiłowała Anielcia ujść zbliżającym się dzikim karesom. Czem raz bliżej przyciągał ją do siebie i posadził wreszcie na swych kolanach.

„Nieba! co tu począć,“ pracowała myśl w głowie Anielci, „komedji tej za dużo — gotowo nieszczęście wypłynąć z tego! Mamże jeszcze dalej udawać miłość przed nim? Jeżeli to uczynię, w takim razie jestem zgubiona, — a oprę się mu, gotów mnie znowu zabić.“

„Pocałuj mię“, przemówił Mahito, a gdy Anielcia się ociągała, gwałtownym ruchem ujął w obie ręce jej głowę i na ustach Anielci wycisnął tak gorący i namiętny pocałunek, na jaki chyba Europejczyk się nie zdobędzie.

Pocałunek ten przejął dziewczynę niewymownem przerażeniem, przechyliła głowę w tył i zamknęła oczy. A gdy je, parta nieprzepartą siłą znowu otworzyła, ujrzała nad sobą twarz dzikiego, w której namiętność rysy tak zmieniła, że zaledwie poznać ją można było. Cała postać Mahity dyszała, zionęła pragnieniem nieposkromnionem, namiętnością, pożądaniem. Ten człowiek w nieokiełznanej swej chuci i namiętności przeistoczył się w zwierzę.

„Kochaj mnie,“ zawołał raz jeszcze, „kochaj — aż do wschodu słońca, póki Duch wielki światła nie roznieci. Pieśćmy się i kochajmy — nie bądź tak zimną jak kamień, — nie bądź potoczkiem, co łagodnie przez bory sącząc, się przewija, ale potężnym strumieniem, — z szumiącemi falami, co z łoskotem dolinę przepływa.“

Anielcia była bliską omdlenia, bo czuła, że fizycznie siłe tego dzikiego człowieka się nie oprze.

Wtem wzrok jej padł na kubek, — o którym w strachu całkiem zapomniała. Przecież Istwan szepnął jej, by go wodzowi podała.

„Biały kwiat jest twoim!“ rzekła omdlewającym niemal głosem, Anielcia, „ale wpierw pozwól, abym ci podała kubek weselny.“

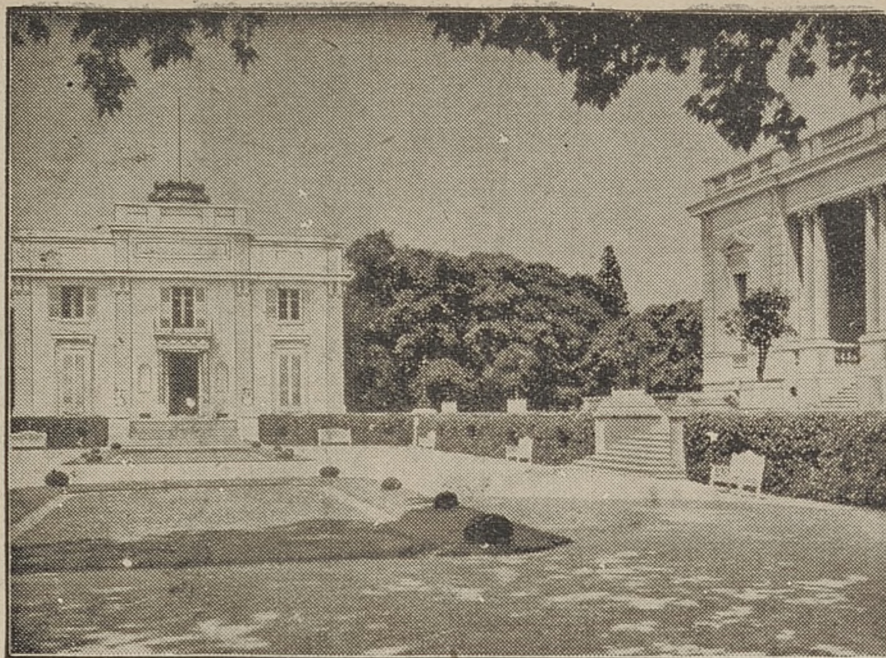
„Biały kwiat przemawia głosem prawdy,“ rzekł Mahito, „zwyczaj to nasz, w tej błogiej nocy wypróżnić czarę, by ogień wzniecić w żyłach, — żar piekielny! — Medyk musiał dobrze wymieszać napój. Dobrze więc, podaj mi go, — biały kwiecie, — podaj ten kubek!“

Anielcia odetchnęła, — lżej się jej zrobiło, bo Indjanin rzucił się na bok i leżał wyciągnięty, ciężko oddychając, obok niej. Szybkim ruchem porwała kubek, podniosła go do ust, udając że pije.

Następnie podała go Indjaninowi.

Rzuciwszy ogniste spojrzenie na Anielcię, przyłożył kubek do ust i jednym ciągiem wypróżnił aż do dnia.

Zerwał się z łoża, — ciało jego wyprężyło się, — z przerażeniem spostrzegła Anielcia, że rysy twarzy dzikiego zmieniły się nagle do niepoznania.



Brat Ludwika XVI., hrabia Artois, wybudował naskutek zakładu z królową Marją Antoniną przedstawiony na zdjęciu pałacyk w 64 dniach. Ponieważ budowa pałacyku kosztowała... bagatelkę (3 miljony franków w złocie) nazwał rozrzutny hrabja wspomniany pałacyk „Bagatelle“„ a zrozumiawszy później, że zakładając się ze swoją szwagierką popełnił wielkie głupstwo, dodał do nazwy „Bagatelle“ słowo „Folio“„ co właśnie oznacza — szaleństwo, głupotę. Pałacyk ten, jak i piękny park są dzisiaj ulubionem miejscem wycieczek Paryżan.

Piana wystąpiła mu z ust, — oczy wylazły na wierzch, — potężne ramiona zdawały się coś niewidzialnego chwytać w powietrzu, — trwało to wszystko zaledwie minutę może, — w tem padł, jak piorunem rażony na ziemię.

Straszne przeczucie zrodziło się w Anielci, — napój, który medyk sporządził, — był chyba szybko działającą trucizną.

Długo trwało, zanim Anielcia ze strachu i przerażenia przyszła do siebie i myśli zebrać mogła. Drżąc cała, pochyliła się nad ciałem dzikiego Mahito, który, jak spostrzegła, już nie żył.

Z szeroko otwartemi ustami i ze złamanym wzrokiem leżał bezwładny ów wódz Indjan, który nie łatwo mógł znaleźć równego sobie. Ale śmierć wszechpotężna w jednej minucie powaliła go o ziemię.

„Nieszczęśliwy,“ szeptała Anielcia, przymykając zmarłemu powieki, „stałeś się ofiarą własnej namiętności. Przebacz mi, niechaj duch twój mnie nie obwinia! Nie jam winna twojej śmierci, i nie winien przyjaciel, który mnie chce ratować, — sam tak chciałeś. — Twoja wola została spełniona!“

Dziewczyna nie wiedziała co teraz począć. Czy wyjść z namiotu, czy czekać, aż Istwan przyjdzie?

Zdecydowała się na ostatnie, niebezpiecznem zdawało się jej opuszczać namiot, chociaż cisza naokół panowała zupełna.

Po długiej półgodzinie czekania, która się jej wiekiem wydała, podniosła się zasłona namiotu. Anielcia zaledwie zdołała przytłumić wydobywający się z jej ust okrzyk, bo przed nią stał imponująco wyglądający, po europejsku ubrany mężczyzna.

Z trudem rozpoznała w nim Anielcia Istwana, — — tego samego co w niedźwiedzią skórę odziany, miał twarz zeszpeconą obrzydliwą farbą.

„Istwan — tyżeś to rzeczywiście?“

„Tak, to ja!“ odparł obcy, „nie dziw się, żem tak ubrany. Do tego ubrania przyszedłem w bardzo pojedyńczy sposób. Wiesz, że Indjanie zabili tego człowieka, który cię chciał ujarzmić. Zdjąłem z trupa ubranie i włożyłem na siebie, bo nie byłoby wskazanem puszczać się w drogę, którą mamy przed sobą, w mojej skórze niedźwiedziej.

„Znalazłem zresztą w kieszeni nieżywego farmera kilka bardzo pożytecznych przedmiotów: rewolwer nabity, nóż i kiesę z pieniędzmi. Sądzę, że nieboszczyk nie będzie się gniewał, żem w ten sposób stał się jego spadkobiercą. Trzeba sobie w świecie pomagać, jak kto może.“

„A cóż z nim?“ pytała Anielcia, wskazując na trupa.

„Biedny Mahito!“ rzekł Istwan, zbliżając się do zwłok Indjanina, „wart byłeś lepszej śmierci!

„Wielkie prawo, rządzące światem, by dbać o swoje przedewszystkiem życie, kazało mi cię w ten niezaszczytny sposób uprzątnąć ze świata. — Toż to będzie wycie między dzikimi, gdy swego wodza w tym stanie znajdą. Co najgorsza, że nie będą wątpić ani na chwilę, że moja w tem ręka była. — No, a teraz dalej, Anielciu, — naprzód! — Nie mamy czasu do tracenia. W lasy, dzikie i bory. Nie będę ukrywał przed tobą, że w tych odwiecznych lasach łatwo śmierć nas spotkać może. Jak długo jednak żyjemy, możemy mieć nadzieję, że dotrzemy do Santa-Fee, — a tam jesteśmy ocaleni.“

„Więc zaraz ruszymy w drogę?“

„Teraz najlepsza pora, księżyc zaszedł, a nam trzeba ciemności.“

„A nie spostrzeże nas nikt z dzikich?“

„Prawie wszyscy popici, śpią jak zabici. Ci co na straży stoją, stoją tak niepewnie na nogach, że nie byliby w stanie nas gonić! Wyszukałem już dwa konie, potrzebne dla naszej ucieczki.“

„Ale oni konno nas przecież także ścigać mogą?“

„Tak, ale w tem cała sztuka, że żaden z nich nie potrafi wleźć na konia. Ale dosyć już tego! Postarałem się o wszystko, czego tylko trzeba, — w drogę więc, — jak najprędzej, — w drogę do wolności i bezpieczeństwa!“

Anielcia opuściła namiot, idąc za Istwanem, rzuciwszy ostatnie spojrzenie na zwłoki Indjanina. Dawny medyk przeprowadził ją obok dębu, pod którym zejście się przed godziną z wodzem miało miejsce.

Tu były dwa konie przez Istwana uwięzione. Odpiął je, — pomógł Anielci wsiąść na jednego, sam zaś wsiadł na drugiego.

Anielcia spostrzegła, że koń, na którym Istwan siedział, miał u szyji uwiązany sitowiem opleciony pakunek. Istwan poinformował ją, że to kosz, napełniony żywnością, której podczas ucieczki będą potrzebowali.

Konie ruszyły, — teraz chodziło przedewszystkiem, by ominąć koło, na granicy którego była straż rozstawiona.

Wszystko szło dobrze, aż dojechali do linji, gdzie straż była. W tej samej chwili jednak, gdy ominęli śpiącą straż, pozrywały się nagle wysokie postacie dzikich Indjan.

Jeden z nich wydał przerażający krzyk, — a w następnej chwili już z dziesięciu było na nogach.

Chwiali się wprawdzie, — ale Indjanie posiadają tę własność, że tam, gdzie chodzi o coś ważnego, trzeźwieją bardzo prędko.

„Naprzód,“ zawołał Istwan, „teraz rozchodzi się o nasze życie!“

Oboje puścili konie galopem.

Dzicy rzucili się do miejsc, gdzie ich konie były poprzywiązywane. Anielcia drżała ze strachu, że ich dopędzą.

Nagle usłyszeli wrzask i wycie, — Anielcię jeszcze większy strach ogarnął a Istwan wybuchnął śmiechem.

„Wyjcie, wyjcie! Popamiętajcie swego medyka, co wam konie potruł!“ zawołał Istwan.

Konie leciały w szalonym pędzie dalej. Kilka strzałów, puszczonych za uciekającymi przeszło mimo uszu.

Po półgodzinnym, takim szalonym pędzie, zwalniając koniowi biegu, rzekł Istwan do Anielci:

„Teraz już nas nie dopędzą! Byleby tylko w lesie odwiecznym nas jaka przygoda znowu nie spotkała!“

CXXXI.

Na tropie

„Proszę o szklankę wody sodowej z ananasem!“

Z temi słowy wszedł do apteki, znajdującej się na rogu Honstonstreet i Bowry elegancko ubrany mężczyzna, któremu podług ostatniej mody przystrzyżona szpakowata broda i złote okulary nadawały poważny bardzo wygląd.

„W tej chwili! Nie prawdaż, gorąco dziś do nie wytrzymania! Brzydki to kraj, ta Ameryka! W zimie zamarznąć można a w lecie zginąć od gorąca. Z jednej ostateczności wpada się w drugą.“



W rozrywkach tenisowych w Paryżu wziął m. in. udział król szwedzki Gustaw. Skorzystała z tej okazji jedna z tenisistek, prosząc króla o pamiątkę w formie autografu.

Młody człowiek, który zdania te w żydowsko - niemiecko - rosyjskim dyalekcie wypowiadał, przystąpił do aparatu, zawierającego wodę sodową i napełnił nią szklankę.

Gość tymczasem z pewnem zdziwieniem zaczął się przyglądać młodemu człowiekowi, który sodową wodę nalewał.

Przetarł okulary w złoto oprawione, w końcu zawołał:

„Na prawdę, to taki on, mój towarzysz niedoli, — Chaim Stieglic, — nie prawdaż, że się nie mylę?“

Mało brakowało, a Chaim Stieglic, — bo on to był rzeczywiście, — byłby szklankę z wodą, — w którą dopiero co dolał soku ananasowego, upuścił na ziemię.

„Świat tak wielki, — przecież ludzie spotykają się na najrozmaitszych miejscach. Więc to pan, panie doktorze Morizano, — przecież poznałem, chociaż się pan tak zmienił. Czy pan przypomina sobie, ja pana poznałem — wtenczas nosił pan brodę długą na piersi spadającą, aż po pas prawie spadającą a loki miał pan takie niemal, jak moi współwyznawcy u mnie w domu.“

Gość zrobił kwaśną minę. Widocznie porównanie jego włosów z lokami żydów w Rosji nie podobało mu się. Z udaną jednak serdecznością wyciągnął rękę do Chaima, mówiąc:

„Cieszę się, że pana spotykam. — Mój Boże, — nacierpiliśmy się dosyć razem. Że tu teraz razem jesteśmy, można za cud uważać. No — ale pan się zmienił — istny dżentelman z pana.“

Chaim, który tymczasem wyszedł, był z poza lady, zrobił krok w tył i rzucił ciekawe spojrzenie do lustra, — widocznie uwaga gościa schlebiała niewinnej próżności jego.

A zmienił się rzeczywiście ogromnie, od czasu, jak był wsiadł na okręt „Gloire de France.“ Podczas, gdy wtedy przedstawiał typ rosyjskiego żyda, w wysokim stopniu zaniedbanego, prezentował się dziś jako młody, eleganck mężczyzna, niemal według ostatniej mo dy ubrany.

W eleganckim krawacie połuskiwa nawet brylant czystej wody. Włosy sta rannie uczesane a górną wargę niec wywróconą, zdobił starannie pielęgno wany wąs, którego końce podkręcon były do góry.

„Na prawdę?“ powtórzył Chaim z u śmiechem. „Nic dziwnego, suknie ro bią ludzi, — jak cię widzą, tak ci piszą. Jak dolary są w kieszeni, zaraz i naczej wygląda człowiek. — Brylant v krawacie moim jest prawdziwy, pani doktorze, — żebym tak zdrów był, — — kosztował 97 dolarów i 65 centy mów. — Ale prawdziwi jankesy nosz wszyscy takie szpilki.“

„Więc z pana zrobił się już jankes? — rzekł doktor, przykładając do us szklankę z odświeżającym napojem, — „prędko się pan zaaklimatyzował!“

„Cóż mi innego pozostaje, panie dok torze, w tym strasznym kraju? — Bo gu dzięki, wiedzie mi się bardzo dobrz i jestem zadowolony. Apteka moj przynosi mi wielkie dochody i man nadzieję, że zostanę bogatym człowie kiem.“

„Jakto, ta apteka jest pańską własno ścią?“

„Naturalnie! — Nie czytał pan szyl du?“

„Zdaje mi się, że czytałem jakieś obc nazwisko?“

„To moje amerykańskie nazwisko Ale pan, panie doktorze, może mnie nadal nazywać, jak dawniej: Chaimen Stieglicem.“

„Ale w jaki sposób przyszedł pa w posiadanie tej apteki?“

„Na pierwszem miejscu oszczędziłen sobie tyle, że mogłem odważyć się n większe przedsiębiorstwa. Poprzednil mój, — był to rodak, — były radca kan celaryjny w Petersburgu. Uchodząc z Rosji, zapomniał w pospiechu oddac dziesięć tysięcy rubli do kasy. — Wi dzi pan, panie doktorze: jak się w Europie skradnie komu sto tysięcy ta larów i dostanie się szczęśliwie do A meryki, — jest się panem. — Ale jal się ukradnie drobnostkę za dwadzie ścia kopiejek, — biada złodziejowi, bo nie ujdzie kary. Mój więc pan radca kancelaryjny oddał mi aptekę za bar dzo tanie pieniądze, — przytem poka zał mi, jak się sporządza recepty, jakoś dotychczas szczęśliwie idzie, po minąwszy dwa wypadki śmierci.“

„Dwa wypadki śmierci?“ pytał z u śmiechem doktór. „Fałszywe lekarstw wydał pan?“

„No, nie tak fałszywe, — tylko da łem do lekarstwa dla jednego dzieck za dużo opium. — Cóż ja winien, że dziecko nie mogło znieść opium? W innym przypadku zamieniłem lekarstw i suchotnikowi dałem środek, który by przeznaczony dla otyłego człowieka, aby schudł. Suchotnik chudł tak długo, a się nic z niego nie zostało.“

„Musiał pan mieć zatem nieprzyjem ności z policją?“

„Co — z policją? Pan wie, co w A meryce policja znaczy? — to taki przed siębiorca, jak każdy inny. Po angiel sku ścisnąłem policji rękę, jak tu na

zywają i na tem koniec. Kosztowała mię cała historja pięćdziesiąt dolarów."

„Bardzo mię cieszy, że się panu tak dobrze powodzi", rzekł Morizano, siadając na przysuniętem przez Chaima krześle. „Prędko poszedł pan wgórę, pewnie będzie się pan wnet żenił?"

Chaim westchnął głęboko, — zaczerwienił się jak panienka i podniósł oczy do góry.

„Panie doktorze, niech mi pan o tem nie wspomina! — ja żenić się? Ach, gdyby pan wiedział! — W mojej piersi odbywa się ustawiczna walka."

„Cóż takiego, — wygadaj się pan, może się znajdzie jaka rada na tę pańską walkę."

„Panie doktorze", mówił Chaim dalej, „ja mógłbym tu zrobić jak najlepszą partję. Proponowano mi już dziewczęta, co mają po dziesięć tysięcy dolarów, — jedna dostanie nawet dom! Ale ja, — mój Boże, — co ja winien, że mój rozum nie potrafi zapanować nad mojem uczuciem? — Niech się pan ze mnie nie śmieje, panie doktorze, i nie uważa za warjata. — Ja się kocham, — kocham szalenie, kocham się, jak się początkujący zwłaszcza aptekarz kochać nie powinien. I to jest moje nieszczęście. — Bo dziewczyna biedna jak mysz. Z początku uważałem ją za bogatą i popuściłem folgę uczuciom swoim — a teraz pokazuje się coś innego a mnie odkochać się znowu trudno. Radzę się swego rozumu i ten mi powtarza ciągle: Chaim, nie bądź głupi, — nie będziesz sam siebie przecież oszukiwał o dziesięć tysięcy dolarów lub o kamienicę. Ale panie doktorze, ja mam czułe serce i to moje nieszczęście!"

„Mojem zdaniem nic tak złego", rzekł doktor. „Jeżeli pan sam ma dobre dochody, żeń się w takim razie tak, jak panu serce każe."

„Gdybym ja wiedział, że ona mnie zechce! Wątpię bardzo!"

„Pocóż te długie korowody? Chcesz pan nabrać pewności, to oświadcz się jej."

Chaim uśmiechnął się wstydliwie.

„Nie mam odwagi, panie doktorze! Ile razy przed nią stanę i chcę jej oświadczyć, że ją kocham nad życie, brak mi oddechu. Widzi pan, jak mię opanuje wzruszenie, dostaję zaraz boleści w żołądku, — i wtenczas ani słowa nie mogę wydobyć ze siebie."

„Na to znalazłaby się rada", rzekł Morizano, którego skargi te wielce bawiły; „mam może zamiast pana pomówić z dziewczyną?"

„Panie doktorze", zawołał Chaim, ta myśl warta złota. Pan taki uczony, — dla pana też fraszka będzie zlepić coś w rodzaju oświadczyn miłosnych. Proszę pana bardzo, niech pan z nią pomówi. A tem łatwiej przyjdzie to panu, ile, że pan jej dobry znajomy."

„Ja?" zawołał Morizano, przenikliwym wzrokiem mierząc Chaima. „O kimże pan mówi, — kto jest ta szczęśliwa, która potrafiła serce pańskie pozyskać?"

„Kto ona jest? — Sądzi pan, że potrafiłbym się zakochać w amerykańskiej dziewczynie, — co jedna w drugą są jak deski? — Nie, panie doktorze, mam lepszy gust. A ona taka piękna, taka milutka! Wie pan, kto to jest? To panna Elżbieta Flower, która na oceanie z nami jechała."

Słowa te wywarły dziwny skutek na doktorze. Złośliwy uśmiech, który właśnie igrał na jego ustach, zniknął nagle i na twarzy zasiadła ponura powaga. Zwolna podniósł się z krzesła i wpiwszy prawie wzrok swój w aptekarza, mówił dalej:

„A — to rozumiem, to się nazywa dobry gust! Więc to panna Flower zdobyła pańskie serce? — Tak? — nie wiedziałem nawet wcale, że ta młoda osoba w Nowym Jorku przebywa. A druga dziewczyna, — jakże ona się nazywała? — prawda, panna Anielcia, co z tą się stało?"

„Powiem panu pod sekretem: wystarałem się jej o miejsce u jednego miljonera w Nowym Meksyku. Opływa we wszystko, jak pączek w maśle. Dobrze jej tam, jak w raju."

„Więc opuściła Nowy Jork i rozłączyła się ze swoją przyjaciółką, panną Elżbietą? Obydwie były tak rozkochane nawzajem w sobie, że nie przypuszczałem, by się miały kiedy rozłączyć."

„Cóż robić! — jak trzeba, to trzeba!" rzekł Chaim. Każdy szuka chleba i zaopatrzenia. Bogu dzięki, — panna Anielcia zaopatrzona. Ale panna Elżbieta —"

Tu znowu głębokie westchnienie wyrwało się z piersi hebrajczyka.

„Co, — źle jej idzie?" pytał ciekawie Morizano.

„Gorzej jeszcze, jak źle! — Ale widzi pan, panie doktorze, to wszystko pochodzi z uporu, a panna Elżbieta ma główkę bardzo upartą! Co ja jej za miejsca już nie proponował. Rękę tylko potrzebowała wyciągnąć i wszystko byłoby dobrze. Mogłaby była być kasjerką w kawiarni. Bardzo ładny zarobek! Cóż, kiedy nie chce. Chciałem ją umieścić w jednym wielkim domu handlowym. Byłaby nic nie miała innego do roboty, tylko pieniądze brać i zapisywać. — Kiedy nie chce! A czemu? Bo powiadają, że właściciel tego domu handlowego lubi młode dziewczęta! — Woli więc znosić biedę i głód! — Ile razy jestem u niej, serce pęka mi z żalu. Blada, smutna, aż przykro patrzeć. Gdyby chciała tylko, złożyłbym do stóp jej trzysta dolarów; mogłaby mi je oddać, kiedyby mogła i chciała. — Kiedy nie chce! — Raz ofiarowałem jej pieniądze. Boże! — Gdyby ja pan był widział w tej chwili! — Ten wzrok, jakim mię przeszyła, — omal nie uciekłem przed nim. Wyprostowała się, jak lew w zoologicznym ogrodzie i rzekła mi: nie zapominaj mój panie, że stoisz przed lady Ravington!"

W tej chwili uderzył się Chaim ręką po ustach.

„Gwałtu, com ja zrobił?" zawołał, „toż to jej głęboka tajemnica! A zaklęła mię, bym o tem nikomu nie wspomniał. — Ale pan, panie doktorze, jakiegoś złego użytku przecież z tego nie zrobi! Pan niezawodnie współczuje także z piękną a biedną lady? — Panie doktorze, nie mógłby pan co dla niej zrobić, pan przecież uczony człowiek! Pan pewnie obraca się w dystyngowanem towarzystwie? Możeby pan mógł wystarać się jej o miejsce, któreby dla niej, jako dla lady, było stosowne."



Podczas pokazu skoków z trampoliny w Kairze, zademonstrował dawniejszy zwycięzca olimpijski Simaika wraz z towarzyszeniem skok zwany: „skokiem wielbłąda".

Morizano odwrócił twarz, nie chcąc, by żyd widział, jakie wzburzenie go opanowało.

„Niezawodnie uda mi się dla nieszczęśliwej coś uczynić", rzekł tłumiąc djabelski tryumf w swym głosie; „ale przedewszystkiem muszą znać adres panienki."

„Proszę, — niech pan sobie zapisze w notesie: panna Elżbieta Flower, 93 ulica nr. 566."

Morizano wyciągnął rzeczywiście z kieszeni notes i zapisał sobie podany adres. Zadowolony zwrócił się do Chaima:

„Wiesz pan co, mój panie Stieglic, najlepiej będzie, jeżeli pan narazie ani słówkiem przed nią nie wspomni, że szukam miejsca dla niej. Nie trzeba rozbudzać w dziewczynie nadziei, które ostatecznie mogą się także i nie spełnić. — Nie mów pan wogóle, żeśmy się widzieli. Tem większą będzie potem niespodzianka, jak się nagle dowie, że przyjaciel jej doktór Morizano coś dla niej zrobił. A teraz bądź pan zdrów, zasiedziałem się tu u pana, a spieszy mi się!"

„Czego pan tak ucieka, — nie pozwoli pan jeszcze wody sodowej?"

„Prawda, zapomniałem zapłacić, — oto proszę, mój panie Chaimie!"

„Chce mię pan obrazić, panie doktorze? Sądzi pan, żebym był w stanie przyjąć jednego centyma od takiego przyjaciela jak pan, z którym mało co brakowało, byłbym leżał na dnie oceanu? — Panie doktorze, nałykaliśmy się dosyć wody morskiej, napijmy się teraz razem przynajmniej sodowej wody."

Chaim napełnił dwie szklanki, — śmiejąc się trącił szklanką doktor.

Ale pan doktor nic mi jeszcze o sobie nie opowiadał, jak się panu w Ameryce powodzi? Długo pan leżał w szpitalu?"

„Bardzo długo," odparł Morizano, „ogromne boleści musiałem znosić. Stan mój był bardzo niebezpieczny, ale w końcu udało się umknąć śmierci. Następnie rozglądnąłem się trochę po kraju i tak mi się w Ameryce podobało, że postanowiłem pozostać tu. Kupiłem sobie na Long-Island, — wiesz pan? ta wielka wyspa przed Nowym Jorkiem, — dom i urządziłem zakład leczniczy."

„Panie doktorze, jakby pan potrzebował lekarstw — "

„Naturalnie pamiętać będę o panu!" przerwał mu Morizano. „Masz pan także wszystkie trucizny?"

Chaim powiódł trwożnym wzrokiem po małej szafce pod ścianą.

„Widzi pan," rzekł głosem z cicha, jak gdyby miał doktorowi jaką tajemnicę powierzyć, „cała szafka pełniusieńka. Silne, słabe, takie, co szybko działają i powolnie. Ale prawdę powiedziawszy, źle mi się robi, ile razy taką flaszkę do rąk wezmę. — Co człowiek wart? Kropla kwasu pruskiego, — i po nim!"

„W tem sztuka, by nie brać do ust! — A teraz bądź pan zdrów i nie wspominaj nic lady Elżbiecie, żeśmy się spotkali."

Chaim odprowadził gościa aż na ulicę, gdzie się z nim, z tuzin razy ukłoniwszy się, pożegnał, przyczem oglądał się na wszystkie strony, czy sąsiedzi jego widzą, jakich eleganckich gości on miewa u siebie.

Gdy doktor Morizano opuścił ogród, rzekł do siebie półgłosem z tryumfującą miną:

„To dopiero połów, — to dzień szęś-

„To dopiero połów, — to dzień szczęśgom tak długo szukał. Teraz wiem, gdzie ptaszek. — To dopiero będzie pyszny interesik. Co mi się nie udało na pokładzie, Gloire de France,' tego dokonam w Ameryce. — Lady Ravington sprzątnę, — krewni jej w Londynie zapłacą mi za zniknięcie jej nazawsze, — na wagę złotem."

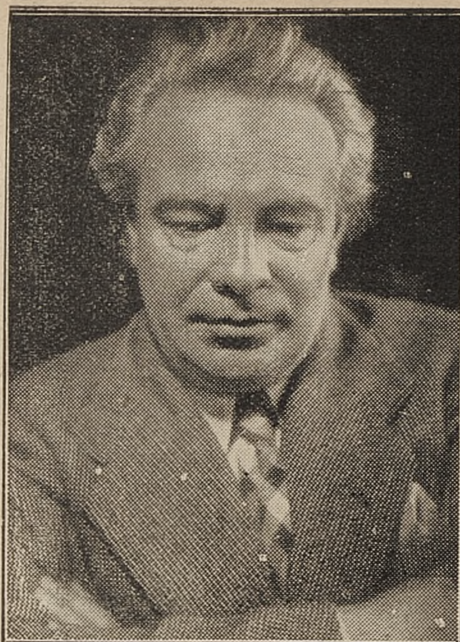
Zajęty myślami swojemi wcale nie zważał na drogę, którą szedł. Trzask z bicza i angielskie przekleństwo odbiło się nagle o jego uszy. Zaledwie zdołał skoczyć na bok....

O włos byłby padł pod koła powozu, który z szaloną chyżością nadpędził.

Woźnica z trudnością potrafił powstrzymać konie, które w największym znajdowały się biegu — i przez chwilę konie postępowały zwolna.

Ale ta chwila wystarczyła, by Morizano przypatrzył się młodemu mężczyźnie, który jechał powozem, oparty o okno jego.

„Do djabła!" rzekł do siebie Morizano, gdy powóz go wyprzedził i znowu jak wicher popędził. „Tak, pomyłka wykluczona, to z pewnością nie kto inny, tylko on, hrabia Kazimierz Zamski! A więc i on w Ameryce? — To nie ślepy przypadek! Podróż to nie dla przyjemności podjęta, poszedłbym o zakład. — Trzeba być ostrożnym i przezornym! Powodów jest dosyć, by unikać znajomych ze starego świata, odnawianie znajomości mogłoby stać się niebezpiecznem."



Na skutek zakażenia krwi zmarł w 57 roku życia znany włoski kompozytor Ottorino Respighi. Jedną z najbardziej znanych oper Respighi'ego jest opera: „Zaklęty dzwon".

Stieglic byłby się zdziwił, gdyby był widział, jak doktor Morizano, który go przed chwilą upominał, by nic nie wspominał lady Elżbiecie o ich spotkaniu się, — sam kroki swoje skierował wprost pod wskazanym adresem.

CXXXII.

W męskich sukniach

Elżbieta zajmowała ciągle jeszcze to samo mieszkanie, które przedtem z Anielcią dzieliła. Łzy cisnęły się jej do oczu, gdy wspominała te czasy.

Było to rzeczywiście to samo mieszkanie, które wesołym śmiechem obydwu dziewcząt rozbrzmiewało? Było w niem teraz tak ponuro, tak samotnie! Zdawało się, że Anielcia była tym promieniem słonecznym, który pokój rozświecał, — wraz z nią, uleciał i on. Głucho i pusto! Nie tylko w pokoju, ale i na ulicy. Ludzi dużo, ale ani jednej znajomej twarzy, ani jednej duszy, do której przylgnąć, przed którą poskarżyćby się mogła na los, który ją przerzucił do tego wielkiego, wstrętnego kraju.

Ciężkie czasy przebyła, — kto wie, czy nie cięższe jeszcze czekały ją!

Przez te miesiące długie od chwili rozstania się z Anielcią miała stałych gości: troskę i zgryzotę, — których przedtem młoda dziewczyna nie znała, a przynajmniej nie w tej strasznej postaci co teraz.

Cierpiała nędzę i to w najokropniejszem słowa tego znaczeniu.

Pieniądze, które jej Anielcia, wyjeżdżając zostawiła, wyczerpały się. Skazaną była teraz na pracę własnych rąk. Dokładała wszelkich możliwych starań, by znaleźć uczciwą jaką pracę, — czytała pilnie anonsy po gazetach, — chodziła przedstawiała się, gdzie tylko mogła.

Ale wszędzie spotykała się z odmową!

W jednym domu nie chciano jej przyjąć, bo widziano w niej dziewczynę z lepszych sfer, obawiano się więc, że nie podoła ciężkiej pracy, — w innym zaś domu piękność jej stawała na zawadzie, zwłaszcza, gdzie pani domu zazdrosna była o swego męża. A tam znowu, gdzie ją radziby przyjęli, czułą Elżbieta instynktowo, że to miejsce nie dla niej, bo jej tam niebezpieczeństwo grozi.

Zatrzymała w pamięci przestrogę Anielci, by nie przyjmować posady w domu, gdzie są młodzi mężczyźni — rady tej przestrzegała Elżbieta jak najdokładniej.

Ale gdy tak rozważała i wybierała, — tymczasem drobny kapitalik topniał jak śnieg na wiosnę, mimo, że żyła o ile możności, jak najoszczędniej. — Czynsz jednak był wysoki, a życie codzienne połączone z wydatkami, których uniknąć nie podobna. I chociaż tak oszczędzała i każdy dolar po sto razy w ręce obracała, zanim go wydała, — nadszedł w końcu dzień, w którym się znalazła bez grosza.

Inna na jej miejscu zwróciłaby się była do poczciwego Stieglica, któryby ją na razie wybawił z kłopotu. — Ale cóż! W Elżbiety żyłach płynęła krew dumnych na swój ród Ravingtonów.

Chociaż miała sympatję dla młodego żydka i ceniła go bardzo dla jego otwartości i wierności, toć żadną miarą nie mogła się pogodzić z myślą, by miała przyjmować od niego pieniężną pomoc. Tem mniej zdobyłaby się na słowa otwartej prośby.

Na to jedno pozwoliła mu, by pomocnym jej był w wyszukiwaniu miejsca dla niej. Niestety Chaimowi nie sprzyjało tym razem szczęście, jak to było w sprawie Anielci.

Tak więc zmuszona ostatnią nędzą musiała zwrócić się do banku zastawczego.

Zastawić! Ciężkie to słowo, które jedni ze łzami w oczach, a drudzy z lekkomyślnym uśmiechem wypowiadają. Ileż to tysięcy ludzi nic sobie z tego nie robi gdy im przyjdzie ten lub ów przedmiot ponieść do zastawu, by chwilową zaspokoić potrzebę?

Lekkomyślność i bezmyślność zapełniają banki zastawnicze najrozmaitszemi rzeczami, niezbędnie potrzebnemi, a jednak zastawianemi z jakiegoś błahego powodu, by naprzykład pójść można na bal maskowy, lub inną jaką sprawić sobie przyjemność.

Zastawić łatwo, — ale wykupić trudno!

O tem nie myślą lekkomyślne natury. Dopiero później żałują gorzko, że dla kilka godzin szał lub wątpliwego rodzaju przyjemności, pozbawili się jakiegoś cennego przedmiotu, który nabyć z trudnością przychodzi.

Ale gdy bieda zastawia, — ile tam też spłynie na rzecz zastawioną? Niejedna biedna wdowa, by chleba dla siebie lub dzieci kupić niesie naprzykład zegarek, który jej mąż nosił.

A właściciel zakładu, zimny, spokojny, bez czucia, — oszacuje, — rzuci biednej kobiecie kilka monet srebrnych — i relikwia wdowy wędruje do składu, gdzie ogromna ilość podobnych pamiątek czeka wyzwolenia.

Dla dziewczyny takiej jak Elżbieta, ciężka to droga. Wyrosła w wygodach, otoczona doniedawna przepychem, dziś musiała z nędzy chwytać się środka, o którym tylko słyszała.

Ale innej drogi nie było! Tych trochę kosztowności, które uratowała przy rozbiciu się „Gloire de France", powędrowały do banku zastawniczego. Otrzymanemi pieniędzmi wyrównała czynsz i popłaciła rozmaite inne drobne długi, których się już było dosyć nazbierało. — Więc i ta gotówka stopniała.

Co począć teraz? Miała jeszcze mały złoty zegarek, który jej kiedyś ojciec podarował; ale z tym pod żadnym warunkiem nie chciała się rozstać. Nosiła go na sercu, tam gdzie list jej ojca spoczywał, który jednak otworzyć miała pewnego dnia w siedemnastym roku życia.

Na ten dzień czekać jeszcze musiała. List więc był nierozpieczętowany, pieczęć jeszcze nie naruszona.

Elżbieta oparła swą główkę na ręce i zadumana patrzyła przez okna na ulicę.

Z okien widać było kolej, — po szynach toczyły się pociągi, — przeraźliwy głos lokomotywy dolatywał do jej uszu.

„To będzie mój koniec!" — wyrwało się jej z ust. „Czuję to. Albo wstyd! Nie, nie, nigdy! Prędzej rzucę się pod koła pociągu, — niech mnie druzgoczą. Jedna chwila, — i po mnie. I wtenczas ci nikczemni, co się krewnymi moimi nazywają, posiędą dziedzictwo Ravingtonów, — a dla mnie zostanie tylko cichy, zimny grób na obcej ziemi.

„Precz z czarnemi myślami!" dodała w następnej chwili, ocierając cisnące się do oczu łzy. „Czyż nie przysięgłam Anielci, że nie będę rozpaczała, tylko wszystkich sił użyję, by sobie stanowisko jakie zdobyć?" —

Wzrok jej padł na gazetę, którą za ostatni grosz kupiła. Rozwinęła ją i i zaczęła z uwagą przebiegać wzrokiem anonsy.

„Niestety! — znowu nic! — Wszędzie żądają świadectw, a ja nie mam żadnych! Gdzie pójdę, wiecznie te same słowa: za młodą jesteś, moja kochana! Za piękna! Niedoświadczona! Za krótko dopiero w Ameryce! Nieobeznana jeszcze ze stosunkami!

A najgorsi ci mężczyźni, gdy się im przedstawiam. Jak oni dziwnie na mnie spoglądają, — pożerają mnie wzrokiem. — gorąco mi się robi i nie rzeklszy ani słowa, wybiegam, by ujść tym dziwnym i strasznym spojrzeniom.

„Czemu ja nie urodziłem się chłopcem, o wiele łatwiejszą byłaby moja walka o życie! Mężczyzna może walczyć i borykać się z losem, póki go nie zmoże! — A kobieta? — jak ciasny jest zakres działania! Los przecież ogromnie okazał się dla nas niesprawiedliwy."

Gdy wypowiadała te słowa, wzrok jej mimowoli padł na szpalty dziennika i nagle błysnął żywszym ogniem.

„Tak", rzekła, „gdybym była chłopcem, znalazłabym zaraz w tym ogłoszeniu to, czego szukam."

Odczytała go na głos. A opiewał on tak:

„Poszukuje się młodego, zwinnego służącego, któryby miał ochotę pewnemu panu z wysokiego rodu towarzyszyć na zachód Ameryki, na wycieczkę myśliwską. — Wymaganem jest dobre wychowanie i uczciwość.

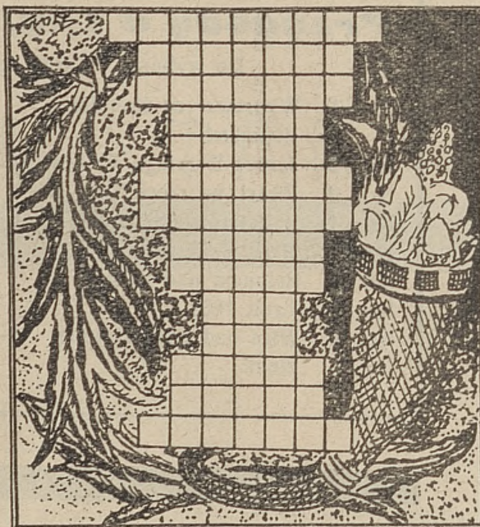
Zgłoszenia przyjmuje portjer hotelu „Lincoln", 5 Aleja, nr. 17."

Ciąg dalszy w następnym numerze.

CHWILA ZASTANOWIENIA

LOGOGRYF

ułożył F. Gałecki.



W rzędach poziomych poumieszczać słowa o podanem niżej znaczeniu. Rząd pionowy, środkowy, da rozwiązanie.

1) Okres czasu. 2) Członek rodziny. 3) Wierszopisarz. 4) Miasto w Rosji. 5) Roślina. 6) Rodzaj kaszki. 7) Przyrząd do jazdy na lodzie. 8) Środek umożliwiający rozmowę międzymiastową. 9) Instrument. 10) Drobna moneta. 11) Inaczej koń. 12) Wyspa na morzu Śródziemnem. 13) Współzawodnictwo o nagrodę. 14) Obrońca Olsztyna (nazwisko).

BILETY WIZYTOWE

uł. W. Mataczyński — Łysinin.

Dr. K. Tayto

Dr. P. Tenzy

Roman Dok

Czem są ci panowie?

Rozwiązanie zadań z nr. 16 „Moich Powieści"

Logogryf wirowy: 1. Rant 2. Raut 3. Taca 4. Arka 5. Barw 6. Tryb 7. Raki 8. Rosi 9. Owoc 10. Okno 11. Anka 12. Baty. Całość: Danuta Wyrybkowska. Rozsypanka: 1. Warszawa 2. Iwonicz 3. Emiljanowo 4. Lublin 5. Katowice 6. Aleksandrów 7. Nowotomyśl 8. Ostrów 9. Częstochowa. Całość: Wielkanoc.

Trafne rozwiązania nadesłali pp.: Wacław Bultrowicz — Gniezno, Dyonizy Janicki — Gniezno, Anna Dorożyńska — Chrośna, „Eros" Józef Kasprzak — Grębocin, Aniela Jagodzka — Wieliczka, Piotr Wolniak — Kraków, Anna Bogucka — Poznań, Józefa Adamczakówna — Lublin, Albin Witczak — Tuchola, Jarek Śmigielski — Wawer.

Nagrody w drodze losowania przypadły pp.: Annie Boguckiej z Poznania i Józefowi Kasprzakowi z Grębocina. (Na wyróżnienie zasługuje pomysłowo wykonane rozwiązanie p. Anny Dorożyńskiej z Chrośna.)

ODPOWIEDZI REDAKCJI

P. H. M. z Gdyni. W odpowiedzi na pocztówkę WPani, informujemy, że w wiadomej sprawie wchodzi w grę kwiecień i maj. Za te miesiące nie wpłynęła jeszcze prenumerata. „Zawalidroga" z pewnych względów został w „Moich Powieściach" na dłuższy czas zlikwidowany. „Wśród warjatów" pociągnie się jeszcze przez parę miesięcy. Łączymy serdeczne pozdrowienia.

H-U-M-O-R

Przy telefonie

— Hallo, hallo! Jaki to numer?
— To nie jest żaden numer, tylko służąca.

Piszący koń

Mąż woła przez sen: — Erna, Erna!
Zapytany przez żonę, co to znaczy, mówi, że to jest imię konia, na którym ostatnio wygrał.
Następnego dnia wita go żona z listem w ręku.
— Twój koń do ciebie napisał.

Gwarancja

— Jakto, Edziu, czyś ty serjo zarządził, że od jutra kucharka ma jeść obiady z nami przy stole? Czy to jednak nie będzie dla nas krępujące?
— Możliwe, ale przynajmniej nie będzie sama zjadać wszystkiego co najlepsze, tylko razem z nami.

Jedyny wypadek

— Czy wierzy pan w wędrówkę dusz? — spytano kiedyś Marka Twaine'a.
— Wierzę, ale tylko w jednym wypadku.
— W jakim?
— Gdy dusza ze strachu idzie w pięty.

Karta pocztowa

U pewnego pana służył chłopiec imieniem Maciuś. Ów Maciuś nie grzeszył zbytnim rozumem, wskutek czego zdarzały się nieraz zabawne przygody. Pewnego razu pan posłał Maćka do sklepu po kartę pocztową.

— Jaka to karta? — pyta Maciuś; — czy taka z obrazkami?

— Nie! — odrzekł pan i wyjąwszy z teczki zapisaną kartę, którą otrzymał od swego znajomego, wręczył ją chłopcu, mówiąc — Przynieś taką kartę, jak ta.

Po kilku godzinach pan, zaniepokojony długą nieobecnością chłopca, postanowił iść na miasto szukać go, sądząc, że mu się coś złego stało. Wtem przychodzi Maciuś i podając panu zapisaną kartę, mówi ze złością:
— Chodzę i chodzę po sklepach, ale nigdzie nie mogę dostać takiej karty, jak ta! Są, ale niezapisane...

Zna się na pogodzie

— Więc jutro, będzie bardzo ładna pogoda — pytają turyści swego przewodnika wybierając się na wycieczkę w góry, — wy znacie się na pogodzie dobrze, prawda?
— O tak, ja się znam, jak mówię, że będzie pogoda, to będzie, chybaby lało.

Sprytna dziewczyna

Ojciec: — Jest dwóch młodzieńców, którzy oświadczyli się o twoją rękę. Jeden jest wojskowym a drugi cywil. Wybieraj więc, którego wolisz.
Córka: — Naturalnie, że wybiorę wojskowego, tatusiu.
Ojciec: — Dlaczego?
Córka: — Bo w wojsku nauczyli go już słuchać, więc i mnie będzie słuchał.

U doktora

Pan: — Skradziono mi pugilares, czy pan doktór mógłby pożyczyć mi 50 złotych?
Doktór: — Ależ dlaczego pan właśnie do mnie zwraca się? Dlaczego nie poszedł pan na policję?
Pan: — Przecież tu wyraźnie napisane na drzwiach: „Pomoc w nagłych wypadkach."

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę mies. 1,00 zł, kwart. 3,00 zł. Pod opaską mies. zł 1,50, kwart. zł 4,50. Zagranicą zł 1,50 mies. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp., wydawnictwo nie odpowiada za dostarczanie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania

REDAKCJA i ADMINISTRACJĄ Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8 P. K. O. Nr. 207.393. — Telefon 32

Rękopisów nie zwraca się.
Wystarczy adresować:
„MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,— zł, 1/2 strony 225,— zł i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 31 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 proc. zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 50 proc. Ogłoszenia przyjmuje się 10 dni przed datą numeru

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Ksycki. — Red. odpow.: Marja Zemmlerówna — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki w Żninie